№ 19. Warszawa, d. 25 Kwietnia (7 Maja). 1870 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcyi Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5.— Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W téj summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.—w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński.— Ekonomja domowa. — Przegląd literatury zagranicznéj.— Przegląd literacki, artystyczny, teatralny i różne wiadomości.— Wiadomości gospodarskie.

— Namiestnik w Królestwie otrzymał telegrafem wiadomość z St. Petersburga, że młodszy syn Jego Cesarskiéj Wysokości Cesarzewicza Następcy Tronu, Wielki Książe Aleksander Aleksandrowicz, zakończył życie 20 kwietnia (2 maja); wyprowadzenie zwłok do katedry w twierdzy Petropawłowskiéj nastąpi 21 kwietnia (3 maja) o godz. 6 wieczorem, pogrzeb 22 kwietnia (4 maja) o godz. 12 w południe; gruba żałoba do pogrzebu, zwyczajna w ciągu miesiąca; Cesarskie teatry zostały zamknięte.

(D. W.)

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z Niemieckiego **Michał Gliszczyński.**

(Dalszy ciąg.)

— Panie doktorze! powiedz mi pan dla czego się pannie Wandzie ten obraz naprzykrzył?

— Kto to powiedział?

— Ona sama.

— To się spytaj jéj saméj.

— Gdybym chciał i mógł jéj saméj się zapytać, tobym się nie pytał o pańskie zdanie.

— A dla czego ja mam mieć jakie zdanie? Co mię to obchodzi—dla czego Wanda tego lub owego nie maluje. Wszystko mi jedno czy będę na obrazie skończonym czy nie, kiedy mię natura nie uczyniła skończonym człowiekiem.

Przekonałem się że tym sposobem niczego się nie dowiem, kołując z daleka dałem do zrozumienia doktorowi, że może odjazd Artura wpłynął na postępowanie Wandy.

— A! dobraliśmy się wreszcie do miodu! — piał po swojemu doktór — a miód taki słodki, taki słodki jak myśl, że taka dziewczyna jak Wanda może kochać takiego wartogłowa jak Artur. To niepodobna! mówią twoje oczy. Dla czego niepodobna? Wszystko jest podobnem,— między ludźmi wszystko jest możliwem! Czyż życie jéj ojca nie jest ciągłą ofiarą? Nie jestże córką swojego ojca? Kiedy się już raz kto puści na to, to nawet jagnię będzie ratowało wilka. Bardzo to zabawne rzemiosło ratowanie wilka! Ale jeszcze zabawniejszem jest to, kiedy jaki tęgi chłop stoi tam i przypatruje się cierpliwie, jak wilk zabiera się pożreć jagnię. Zamiast na miejscu położyć trupem poczwarę to on pyta się swego przyjaciela. „Szanowny panie! czy nieprawda że w końcu wilk pożre jagnię?“ Idźcie precz odemnie wy wszyscy co nosicie na karku ludzkie twarze.

Zacząłem serdecznie żałować żem wszczął tę rozmowę a do tego jeszcze tak niezgrabnie, doktór piał bardzo wysoko i skakał bardzo szybko z nogi na nogę. Widocznem było że od niejakiego czasu wszystko co się Wandy tyczyło, niezmiernie go drażniło. Czasami odzywał się o niéj tak, jakby jéj nienawidził a wszyscy wiedzieli że ją ubóstwia. Wspomnieć mu o niéj, rzuć ognia na niego. Może to ztąd pochodziło, że od kilku dni upały były nieznośne a chorych w mieście, w więzieniu dużo. Przynajmniéj chłopców odesłano na wieś na wakacye. Dyrektor i doktór mieli dużo do roboty, jeden drugiego chciał prześcignąć. Pan Snellius piał, że to jest głupstwo nad głupstwami, poświęcać się dla drugich a jeszcze kiedy się ma jedno tylko płuca, ślepą żonę, czworo dzieci a w kieszeni ani złamanego szeląga kapitału. Co z tego będzie?

I ja w godzinę późniéj, stojąc na placu przed belwederem, to samo zadawałem sobie pytanie. Zamyślony głęboko nie widziałem że gęste czarne chmury pokryły niebo, że jakieś żałośliwe głosy rozlegały się w powietrzu. W tem gruby głos powtórzył mi w same ucho to samo pytanie. Co z tego będzie? Był to stary wachmistrz, który pokazywał mi ręką co się dzieje na niebie i na ziemi.

— Burza! odpowiedziałem nie myśląc o tem co mówię.

ROZDZIAŁ XV.

I rzeczywiście rozszalała się straszliwa burza, jakiéj ludzie nie pamiętali. Była północ, kiedy mię obudził trzask, podobny do piorunu, od którego cały stary dom aż w fundamentach zadrżał. Dachówki leciały z dachu, drzwi i okienice skrzypiały przeraźliwie. Pierwsza moja myśl była o tych, co tam w domu w ogrodzie byli. Jednym skokiem porwałem się z łóżka i w oka mgnieniu byłem już ubrany, kiedy wachmistrz całą głowę wytknął przez drzwi i rzekł:

— Już pan wstał? ale od tego przebudziłby się nawet niedzwiedź o siedmiu zmysłach.

— Idę zaraz do niego.

— Bardzo słusznie! Ja tu zostanę, bo zapewne będzie potrzeba kogoś co ma głowę na swojem miejscu.

W czasie téj krótkiéj rozmowy, dwa razy jeszcze usłyszeliśmy trzask jeszcze silniejszy niż pierwszy: wiatr szumiał i wył żeśmy się słyszeć prawie nie mogli. Co się tam musiało dziać na dworze! Przekonałem się zaraz kiedym szedł przez dziedziniec więzienia. Grobowa ciemność okryła swoim całunem ziemię. Orkan wściekał się jak dziki zwierz kiedy go pierwszy raz zamkną w klatce; mimo moją siłę rzucał mię to w tę to w drugą stronę. Dobrałem się wreszcie do mieszkania dyrektora, gdzie już w oknach migało się światło. Na dole spotkałem Wandę; szła z zapaloną swiecą, twarz jéj była bardzo bladą, kiedy mię ujrzała łzy zakręciły się w jéj oczach.

— Wiedziałam że przyjdziesz! Straszna noc! koniecznie chce iść do więzienia a jest słabszy od kilku dni. Nie śmiem go prosić żeby nie chodził, bo to jego obowiązek. Dziękuję ci żeś przyszedł.

Łzy popłynęły jéj po twarzy.

— Nie śmiéj się ze mnie, ale od kilku dni dręczy mię jakieś przeczucie że nieszczęście na nas spadnie.

— Burza ta szaleje w wielkim obszarze, dla czegoż ma tylko w nas uderzyć? Pójdę do ojca Wando!

— Oto on sam nadchodzi!

Dyrektor wyszedł ze swego gabinetu; widziałem że prosił i zaklinał panią Zehren, żeby została w pokoju. Czy i ona miała przeczucie jakiego nieszczęścia? Kto z nas widzących może słyszeć głos duchów kiedy w nocy do niewidomych przemawiają?

Ciężka troska wybijała się na jego twarzy, ale ją uśmiech zaraz rozpędził kiedy nas ujrzał oboje razem.

— To wy! oboje moi drodzy! Wyciągnął do nas obie ręce i powtórzył.

— Wy oboje kochani!

Czy to wzrok jego sięgał w daleką przyszłość? Czy to był natchniony prorok, który z radością ujrzał ukochaną swą córkę obok człowieka, którego jak syna kochał? Zachwycenie trwało sekundę, rzeczywistość wróciła.

— Pójdziesz ze mną Jerzy! muszę obejść więzienie; burza ma wielki wpływ na umysł więźniów; i oni wtedy krzyczą i wyją. Pamiętasz Wando co się tu działo przed ośmiu laty.

— Pamiętam ojcze. Tyle potem wycierpiałeś! Ale oto Anusia przynosi latarnię.

Odebrała ją od przestraszonéj dziewczyny i podała mi ją. Dyrektor pożegnał ją czule, zapiął surdut wcisnął kapelusz na głowę i obracając się do mnie rzekł:

— Chodźmy Jerzy!

Wstąpiliśmy w tę ryczącą i grzmiącą noc. W lewéj ręce niosłem latarnię a prawą podpierałem dyrektora, który z ciężkością postępował. Nagle wyprostował się:

— Słyszysz Jerzy?

— Słyszę, odpowiedziałem.

Burza ryczała ciągle i gwizdała, zbliżyliśmy się do okien wielkiéj sali, w któréj spało zamkniętych do stu więźniów. Krzyki ich były straszniejsze niż burza! Tak muszą krzyczeć potępione dusze w podziemnym tartarze.

— Światła! Światła! Puśćcie nas na dwór!

— Prędko Jerzy! zawołał dyrektor i pobiegł tak szybko żem ledwie zdążał za nim. Weszliśmy na dziedziniec więzienia, gdzie wachmistrz Zismilch ujadał się z inspektorem i kilkoma dozorcami.

— Zobaczymy kto będzie miał rację! Trzeba być niedźwiedziem o siedmiu zmysłach, trzeba nie umieć odróżnić piórka od zębów od bramy więziennéj. Do milion kroć sto tysięcy diabłów zapalcie latarnie!

— Tak jest zapalcie latarnie odezwał się wchodzący dyrektor.

Ludzie cofnęli się z uszanowaniem ale inspektor mruczał:

— Nie ma potrzeby, panie dyrektorze łamać przepisanego porządku. Oni dobrze o tem wiedzą, ale chcą skorzystać z okoliczności.

— Może i nie, panie Müller, odpowiedział dyrektor. Ani pan ani ja nie siedzieliśmy jeszcze w zamknięciu, między stoma w ciemności, podczas tak strasznéj nocy. Bojaźń jest zaraźliwa jak odwaga, chodź pan za mną i ty Zismilch i dwóch jeszcze.

Weszliśmy na korytarz i stanęliśmy przed wielkiemi drzwiami prowadzącemi do sali gdzie ciągle wołano o światło.

— Otwórz! rzekł dyrektor do dozorcy.

Biedak drżał ze strachu i patrzał na inspektora.

— Otwórz! powtórzył dyrektor.

Dozorca włożył klucz do zamka i odemknął, potem odsunął jednę i drugą sztabę, kiedy miał odsunąc ostatnią spojrzał na dyrektora, który się uśmiechał.

— Marcinie! przecież masz serce nie w prawem boku.

Marcin bez wahania odsunął trzecią sztabę i drzwi się rozwarły. Przez całe życie nie zapomnę tego com wtedy zobaczył. O cztery stopy od drzwi wznosiła się aż do sufitu żelazna krata; po za nią znajdował się rój ciał ludzkich na sobie leżących: tu wyglądała ręka, tam noga, gdzie niegdzie głowa jak na polu bitwy, ale tutaj rój ten ruszał się, przewracał, a w wielu punktach tego mrowiska świeciły gniewliwe zrozpaczone, obłąkane, oczy.

— Ludzie! grzmiał głos dyrektora silniejszy teraz od burzy i od krzyku więźniów. Chcecież sami narażać się na srogie kary? Niebezpieczeństwa żadnego nie ma, tylko ciemność i wasze głowy uroiły je sobie!

Czy to głos tak łagodny, czy widok dyrektora, czy światło nagle wniesione oślepiło wszystkich? ale rój rozszedł się a oczy przybrały zwyczajne spojrzenie. Jeden i drugi nawet czy przed światłem czy ze wstydu spuścił oczy w ziemię.

— Odstąpcie ludzie, rzekł dyrektor, żeby można kratę otworzyć.

Odstąpili —kratę otworzono, dyrektor wszedł do sali a my za nim.

— Patrzcie dzieci jacy nierozsądni jesteście! mówił daléj przyjacielskim tonem, oto stoicie w koszuli drżąc od zimna, wstydźcie się! Połóżcie się napowrót albo się ubierzcie zupełnie, każę wam zapalić wszystkie latarnie, żeby każdy mógł widzieć że jego sąsiad ma zajęcze serce a on sam jest tęgi zuch.

Więźnie spojrzeli po sobie i nie na jednéj twarzy okazał się uśmiech, a w tyle kilku głośno się roześmiało.

— To dobrze, rzekł dyrektor; śmiejcie się! przed szczerym śmiechem nie ostoi się nawet diabeł! A teraz dobranoc dzieci muszę iść do drugich.

Dozorcy zapalili tymczasem cztery duże latarnie; łagodna jasność rozlała się po całéj sali; wszystko się uspokoiło. Wyszliśmy na korytarz, wszędzie ta sama scena; wszędzie klątwy i prożby, żeby im dano światła, co najwięcéj światła. Głos dyrektora przynosił wszędzie pociechę i spokój. W jednéj tylko sali leżącéj na rogu, a tem samem wystawionéj więcéj niż inne na huk orkanu trafiliśmy na upartych, którzy domagali się koniecznie żeby ich na dwór wypuszczono, bo nie chcieli być żywcem pogrzebani.

— Ależ dzieci, mówił dyrektor, jesteście tu bezpieczniejsi niż gdziemdziéj, sala ta jest najmocniejszą w całym gmachu

— Dobrze mu mówić! mruczał jakiś olbrzymi o zwierzęcéj twarzy więzień; pójdzie do domu i będzie sobie spał spokojnie w swojem miękkiem łóżku.

— Daj mi twój materac przyjacielu, rzekł dyrektor. Więzień patrzał zdziwiony.

— Pożycz mi twego materaca na dzisiejszą noc, sprobuję czy twardo spać na nim.

Głęboka cichość nastała po strasznych krzykach, ludzie spoglądali po sobie zmięszani, niewiedzieli czy to żarty czy prawda. Ale dyrektor nieruszał się z miejsca, nikt z nas nieśmiał przemówić do niego. Wszystkich oczy skierowały się na śmiałego zuchwalca, który wyglądał teraz jak skazany na śmierć oczekujący spełnienia kary. Hardość jego została złamaną, poszedł pocichu po materac i zbliżył się z nim do dyrektora. Połóż go tu mój przyjacielu rzekł dyrektor, jestem zmęczony, dziękuję ci żeś mi dał posłanie.

Więzień położył materac na ziemi, a dyrektor położył się na nim.

— Teraz i wy wszyscy połóżcie się także. Pan panie Inspektorze udaj się do szpitala i zapytaj się czy mnie tam nie potrzebują. Ty Jerzy zostań ze mną.

Inspektor i dozorcy wyszli, drzwi się zamknęły i zostaliśmi sami między osiemdziesięcioma więźniami najgorszymi w całym zakładzie. Więźnie jedni się pokładli, drudzy siedzieli na swoich łóżkach. Ten który musiał oddać dyrektorowi swój materac, mógł się także położyć, bo było jeszcze dosyć próżnych łóżek, ale nieśmiał, stał oparty o krawędź w najciemniejszym zakącie sali.

Ja oparłem się o słup, który w środku podpierał sufit, i przypatrywałem się temu dziwnemu widowisku i słuchałem co za harce burza na dworze wyrabia. Dyrektor leżał spokojnie jedną rękę podłożywszy pod głowę a drugą zakrywszy sobie oczy. Spał czy udawał że śpi. Zdawało mi się czasami że całe jego ciało drgało. W sali było ciepło, ale nas deszcz zmoczył a on dopiero co podniósł się z choroby. Czem się to skończy? westchnąłem z całego serca.

Nagle tuż obok mnie podniósł się jeden więzień, który oddawna przypatrywał się dyrektorowi: zbliżył się do mnie pocichu i rzekł:

— Niemoże tu leżeć, byłaby to śmierć dla niego.

— Cóż mamy robić? odrzekłem wzruszając ramionami?

W krótkim czasie stanęła przy mnie druga postać i gadała chrapowatym głosem.

— Niech idzie do domu! Czego tu ma leżeć i marznąć z przyczyny tego błazna. Nie chcemy go mieć na sumieniu.

— Tak jest nie chcemy go mieć na sumieniu, mówili inni bo wszyscy niespali tak jak i ja. Wszyscy prawie zebrali się naokoło mnie, chcieli naprawić złe ale nie wiedzieli jak zacząć. Wreszcie jeden z nich odezwał się:

— Niech on sam tu przyjdzie i prosi: gdzie on jest? Tam w tyle! Przyprowadzić go tu. Rzucili się do kąta gdzie olbrzym ukrył się, kilkanaście par tęgich pięści porwało go i przywlokło przed dyrektora, który się podniósł na twardym materacu. Uśmiech niewypowiedzianéj błogości zajaśniał na jego ustach.

— Dziękuję wam! dziękuję wam za waszą dobroć! Wszystkie godziny mojego życia dla was poświęcę. A teraz jeszcze jedno moje dzieci, przebaczcie temu nieszczęśliwemu przez wzgląd na mnie.

Olbrzym upadł przed nim na kolana, dyrektor położył rękę na najeżonéj głowie i błogosławił go. Skierowaliśmy się ku drzwiom, rzuciłem jeszcze jedno spojrzenie po za siebie, żaden z więźniów nie ruszył się jeszcze z miejsca, wszyscy spoglądali za dyrektorem a w niejednem oku zabłysła łza.

ROZDZIAŁ XVI.

Była godzina druga kiedyśmy powrócili do domu. Na pierwszy odgłos dzwonka wybiegła do nas Wanda, ale dyrektor uśmiechnął się tylko do niéj i poszedł do swojego sypialnego pokoju a ja za nim. Nie mówił nic do córki bo nie mógł mówić. Oblicze jego było blade, a na policzkach odbijały się ciemnoczerwone plamy. Pokazał mi ręką żeby mu pomódz rozebrać się i położyć. Potem podziękował mi oczami i zamknął je jakby na zawsze. Usiadłem przy jego łóżku i wpatrywałem się w to szlachetne, blade oblicze. Wnet czerwone plamy zniknęły, leżał nieruchomy, jak gdyby w téj piersi już serce nie biło, jakby z pod téj czaszki duch już uleciał. Tak upłynęły pomału nocne godziny, a po mojéj głowie snuły się dziwaczne widziadła. Nie wiem jakim sposobem przyszedł mi na myśl znowu zamek Zehrenów i ów dzik, który klnąc cały świat odebrał sobie życie. Zdawało się niepodobieństwem, żeby jedna matka wydała na świat tak dwóch różnych synów, jeden przyjaciel drugi nieprzyjaciel ludzi. Czułem że mi brakuje powietrza do oddychania, podniosłem się pocichu i wyszedłem na dziedziniec. Wielki zegar w przedpokoju pokazywał ósmą godzinę. Ogród wyglądał teraz jakby jaka pustynia, drzewa prawie wszystkie powyrywane z korzeniem, żywopłoty połamane. Ścieżki zawalone gałęziami, wiatr świszczał jeszcze a deszcz padał ciągle. Pobiegłem do belwederu żeby się tam schronić: kiedym drzwi otworzył Wanda stała przedemną.

— Ty tutaj Wando? zawołałem przerażony, burza może zawalić domek nad twoją głową.

— Jak się ma ojciec?

— Spi, aleś ty nie spała?

Policzki jéj były blade, a czy głęboko zapadłe. W tem nagle spojrzawszy w okno krzyknęła co to jest? Spojrzałem i ujrzałem gęste kłęby dymu wznoszące się w powietrze, a niedługo potem czerwona łuna pokryła cały horyzont.

Ale ja nie myślałem o niczem tylko o téj, która stała przy mnie i spoglądała smutnemi oczami.

— Wando! odezwałem się wreszcie, jeżeli kiedy w życiu twojem burza huczeć zacznie nad tobą, jak teraz huczy nad nami wszystkiemi, czy wtedy zwrócisz się do mnie po pomoc i opiekę? Powiedz Wando czy zrobisz to?

Mocny rumieniec wystąpił na jéj blade policzki, cofnęła rękę z moich rąk i odpowiedziała:

— Ty należysz do tych dobrych ludzi mój Jerzy, którzy wszystkim chętnie pomagają i do których chętnie wszyscy garną się po pomoc.

— To nie jest żadna odpowiedź Wando.

Otworzyła usta i chciała coś powiedzieć, w tem nagle cały Belweder zatrząsł się, dach spadł na ogród, kawałki okien i okienic przeleciały obok nas. Ująłem w pół Wandę i prawie ją wyniosłem z domu, zaledwieśmy go opuścili zawalił się z trzaskiem. Wanda krzyknęła przeraźliwie i przytuliła się do mnie. Kiedym poczułże jest w moich ramionach, myślałem że się niebo przedemną otwarło, ale wnet wysunęła mi się z rąk.

— Jakie my słabe stworzenia my biedne kobiety! Wy mężczyźni z pewnością musicie myśleć, że po to tylko jesteśmy na świecie, żebyście się nami opiekowali.

Kiedy to mówiła, widać było na jéj czole i oczach coś do gniewu podobnego. Co za myśl przeleciała w téj chwili w jéj głowie? Dowiedziałem się o tem aż w kilka lat późniéj.

Z wielką trudnością dostaliśmy się do domu. Nie wyrzekliśmy ani słówka do siebie, szła sama, bo nie śmiałem podać jéj ręki. Niedługo potem siedziałem smutny w kancelarji. Trudno pracować kiedy serce niespokojne, kiedy nas dręczą dolegliwe myśli, ale obowiązek przedewszystkiem jak mówi dyrektor, usiadłem więc do pracy, przepisywałem listy, sprawdzałem rachunki i kopjowałem plany. Około połu-

dnia poszedłem do dyrektora, żeby mu dać do podpisu wygotowane papiery. W pokoju przylegającym do gabinetu zatrzymałem się, bo przez otwarte drzwi słyszałem że tam rozmawiają.

Jest to wyborna okoliczność mówił łagodny głosik który w ostatnich latach bardzo rzadko dał się słyszeć u dyrektora, jest to głos Pana który widocznie burzą i zniszczeniem chce skruszyć serca grzesznych ludzi! Korzystajmy z tego niech głos Pana nie będzie napróżny.

— Przebacz mi że nie jestem jego zdania panie kapelanie! Dziś w nocy miałem rażący przykład do jakiego szaleństwa doprowadza ludzi zabobonny przestrach.

— Zapomniałem wspomnieć panu, mówił po krótkim przestanku delikatny głosik, że pan prezydent, któremu mój plan zakomunikowałem, zgadza się zupełnie z mojem zdaniem a nawet życzy sobie żeby we wszystkich kościołach dzwoniono i parafian na modlitwę zwołano. Byłoby mu to bardzo niemiłem, gdyby właśnie tutaj jego życzenie i wola nie były spełnione.

— Boję się odpowiedział dyrektor, że oprócz mnie wielu jeszcze ludzi musi odmówić panu prezydentowi winnego uszanowania, dzwony będą dzwonić ale nie do kościoła tylko do roboty, bo jak burza ustanie będziemy mieli dużo zajęcia. Rzeczywiście burza srożyła się ciągle, i w téj saméj chwili drzwi od dziedzińca nagle się otworzyły: doktór wbiegł zaledwie oddychając.

— Com przewidywał to się robi, bąknął przebiegając obok mnie i wbiegł do pokoju dyrektora gdzie i ja wszedłem. Co przewidywałem to się robi, powtarzał ciągle zdjąwszy okulary i ocierając twarz z kurzu i błota: za dwie a może za godzinę, woda dostanie się przez wał, jeżeli gdzie wprzód nie wyrwie jakiego kawałka ziemi.

— A jaka jest na to rada?

— Kładzie się ręce do kieszeni i basta! Jakby mnie kto ostrogami popędzał pobiegłem do dyrektora policji i do prezydenta, żeby wszystkie zdatne do pracy ręce na wał wyprawić. A nawet cały batalion będący na mustrze cofnąć i do roboty zapędzić. Wszystko to przedstawiłem tym panom a wiesz co mi na to odpowiedzieli? Oto że oficer nie może ani na jotę odstąpić od wydanego mu rozkazu, to też nie można nawet myśleć o tem, żeby dowódzca batalionu na ich prośby użył go do czego innego. A prezydent ten świętoszek... pan Kressow tutaj?. Bardzo mi przykro, żem w obec pana tak niegrzecznie się wyraził o jego stryju. Ale co powiedziano to powiedziano.

— Nieomieszkam powiedzieć mojemu stryjowi, jak przyjazne uczucia pan dla niego chowasz, które tak bez żadnéj osłony szczerze wypowiadasz, rzekł kapelan i porwawszy za kapelusz wybiegł z pokoju.

— Szczęśliwéj drogi! wołał wojowniczy doktór skacząc z nogi na nogę, szczęśliwéj drogi! wołał za kapelanem stanąwszy w otwartych drzwiach.

— Stracisz twoje miejsce w tym zakładzie. odezwał się dyrektor.

— Niech go diabli porwą! niech wie co o nim myślę! piał doktór.

— O prezydenta nie idzie, odrzekł dyrektor, ale dla mnie wiele na tem zależy żebyś tu był doktorem, musimy pomyśleć nad tem jakby go znowu ułagodzić.

I jak było jego zwyczajem, chodził pomału po pokoju z założonemi w tył rękami, doktór trochę zawstydzony stał spokojnie. W tem jeden z dozorców wszedł do pokoju.

Co tam nowego? zapytał się dyrektor.

— Dużo ludzi przed bramą panie dyrektorze.

— Gdzie?

— Przed bramą panie dyrektorze.

— Co za ludzie?

— Ze wszystkich ulic przyległych morzu. Powiadają że potoną wszyscy a ponieważ zakład leży daleko wyżéj.....

Dyrektor, nie wyrzekłszy ani słowa, wyszedł na dziedziniec, poszliśmy za nim. Wyszedł jak stał w jedwabnéj kurtce, bez czapki. I szedł, a burza rozwiewała jego gęste ciemne włosy i biła go po twarzy. Przyszliśmy do bramy która już była otwartą. Było tam około pięćdziesięciu ludzi: mężczyźni, kobiety stare i młode i dzieci to przy ręku, to na ręku matek. Prawie wszyscy trzymali w ręku swoje rzeczy lub poskładali je na ziemi. Każdy chwytał co mógł, widziałem jedną kobietę, która dźwigała duży cebrzyk, bojąc się postawić go na ziemi żeby się nie stłukł, widziałem znowu jakiegoś mężczyznę, który niósł w ręku próżną klatkę. Odźwierny chciał się opierać napływającym tłumom, ale dyrektor uchwycił go za rękę i rzekł, niech wejdą. Niedługo potem kiedy już wszyscy byli na podwórzu, dyrektor zawołał: Stać!.. Ludzie stanęli.

— Kobiety i dzieci zostaną tutaj, starzy i chorzy także. Zdrowi i silni niech się na chwilę zagrzeją a potem do roboty, nie przystoi mężczyźnie leżeć za piecem. Tymczasem nowi goście napływali, dyrektor kazał wpuszczać wszystkich, jakaś młoda kobieta z dzieckiem na ręku zbliżyła się do dyrektora i wołała:

— Gdzie jest mój mąż? oddajcie mi męża! niemogę przecieć sama wszystkich gratów zabrać.

To mówiąc rzuciła dziecko na ręce doktora i wybiegła na ulicę.

— Musisz się coprędzéj pozbyć twojego ciężaru, odezwał się dyrektor ze śmiechem i przyjąć na mojem miejscu dowództwo. Pamiętaj o kobietach i dzieciach żeby za kwandrans dostały obiad.

Doktór rzucił pytające spojrzenie na swego naczelnika, w tem nagle jakiś promień oblał jego cudacką twarz, przycisnął krzyczące dziecko do piersi i wpadł jak kula do domu.

— Zostań tu Jerzy, powiedział do mnie dyrektor i rozmawiaj z ludźmi jak to umiesz, za dziesięć minut będę z powrotem. I odszedł a ja patrzyłem za nim nie mogąc sobie w żaden sposób wytłómaczyć, co on zamyślał zrobić. Zdawało mi się że poszedł przygotować się do walki na śmierć i życie i pożegnać się raz ostatni ze swoją rodziną. Dreszcz mnie przejął całego ale obowiązek przedewszystkiem! Podniosłem głowę i przemówiłem do nieszczęśliwych.

— Dobrzy ludzie! Bądźcie spokojni, pomoc wam przyjdzie jeżeli człowiek może wam pomódz.

Ciśnęli się naokoło mnie i opowiadali swoje wielkie nieszczęście; że woda o północy zaczęła przybierać po dwie stopy na godzinę, że wał ma tylko 25 stóp wysokości, że ulice przymorskie mają tak nizkie położenie jak samo morze i jeżeli wał przerwany zostanie to wszyscy zginą.

— Nie płaczcie biedni ludzie, on wam pomoże. Stary jeden spojrzał na mnie i rzekł:

— On jest dobrym panem, o tem wie każde dziecko, ale co on na to poradzi?

Ukazał się dyrektor, niedługo potem z trojga drzwi znajdujących się w głównym gmachu, wyszło przeszło pięćdziesięciu więźniów w swoich szarych kapotach z rydlami, hakami, siekierami, linami, i rozmaitymi przyrządami, które się w więziennych warsztatach znajdowały. Dozorcy prowadzili więźniów. Na twarzy dyrektora, na którą wszystkich oczy były skierowane, wybijała się imponująca powaga, wreszcie głosem silniejszym niż burza odezwał się.

— Ludzie! każdy z nas miał w życiu swojem godzinę, którąby chciał za największą cenę wymazać ze swojéj księgi żywota. Spotkało was wielkie szczęście, każdy z was, czemkolwiek był i cokolwiek zrobił, może ową godzinę odkupić teraz i może przed Bogiem, ludźmi, i przed sobą samym stać się tem czem był wprzód. Powiedziano wam już o co tu idzie. Trzeba oddać życie własne za życie bliźnich, za życie kobiet i dzieci! Nie czynię wam żadnych próżnych nadziei, nie mówię wam że jeżeli to zrobicie będziecie wolni; przeciwnie wrócicie zkądeście wyszli. Żadnéj nagrody, żadnéj wolności tylko podziękowanie waszego dyrektora, szklanka dobrego groku i spokojny sen, jak sen uczciwego człowieka! Czy chcecie pod temi warunkami iść za mną? Kto chce niech podniesie rękę!...

I pięćdziesiąt rąk wyleciało do góry i z pięćdziesięciu ust wyleciał okrzyk: pójdziemy! W oka mgnieniu wszyscy ochotnicy, do których się i mieszczanie przyłączyli i podzielili się na oddziały, jednym miał dowodzić Zismilch, drugim ja, trzecim więzień Mateusz silny i pojętny człowiek, dawny cieśla okrętowy.

Dozorcy stali na boku.

— Dzisiaj każdy jest własnym dozorcą, odezwał się dyrektor.

Ulica przytykająca do bramy więzienia nie była długą i prędkośmy ją przebiegli. Ale na jéj końcu natrafiliśmy na trudną a niespodziewaną przeszkodę, wieżę wchodową wiatr przewrócił i przeszło pół godziny zeszło zaczem sobie drogę utorowaliśmy. Przyśliśmy na miejsce gdzie nasza pomoc tak była potrzebną. Był to ów nizki wał przez który nieraz z belwederu spoglądałem na morze i na wyspę. Miał może pięćdziesiąt łokci długości a za nim był już port. Woda parta wiatrem tłukła o wał jakby taranem, gdyby go przerwała, większą połowę miasta by zatopiła bo dachy domów przy wale zaledwie sięgały do jego wierzchołka. Kiedyśmy stanęli na wierzchołku wału, wszyscyśmy zbledli od strachu i przerażenia.

Nigdy ludzie nie mieli lepszego wodza. Dzielny ten mąż stał na najwyższym punkcie wału, objąwszy ręką wysoki słup flagowy i ztamtąd głosem silnym a donośnym wydawał rozkazy. Jedni musieli wrócić się na ulicę portową i przynieść ile będą mogli próżnych fas, skrzyn itp. drudzy z rydlami i koszami wdrapali się na bastion gdzie ziemi nie potrzebnéj było podostatkiem, inni znowu ścinali drzewa na praterze a inni wreszcie mieli dostawić kilkanaście bali. W przeciągu pół godziny wszystko było zniesione, wtedy dopiero zaczęła się trudna robota żeby zasypać i zawalić wszystkie szczerby jakie woda w wale porobiła. Koło wieczora morze się uspokoiło i mieliśmy wracać do domu. Obejrzałem się na flagę, dyrektora przy niéj nie było. O kilkanaście kroków od niéj zebrała się dosyć liczna gromada ludzi biegających, wołających, załamujących ręce. Okropne przeczucie popchnęło mię w tamtą stronę. Na kolanach wachmistrza spoczywała głowa dyrektora trupio blada, na ustach i naokoło na ziemi widać było krew — dostał znowu krwotoku. Na chwilę otworzył oczy i przywołał mię niemi do siebie. Zrozumiałem dany mi znak, i podniosłem go na rękach i poszedłem przodem do miasta, wszyscy więźnie idąc za wzrokiem dyrektora, powrócili do więzienia, nie brakowało ani jednego. Wszyscy też spali spokojnie jak im przyobiecał i on też zasnął spokojnie na wieki wieków!

ROZDZIAŁ XVII.

W rok po tych wypadkach jakiś samotny podróżny wstępował na wysoki pagórek pokryty wrzosem i paprocią. Szedł pomału jak człowiek zmęczony podróżą zaledwię wlokąc nogi po głębokim piasku, który morze daleko na brzegi wyrzuca. Ale podróżny ten nie był wcale zmęczony, przez cały dzień uszedł tylko kilka mil, co sądząc po jego budowie było dla niego dziecinną igraszką. Zawiniątko które zawieszone na lasce niósł na ramionach, niemogło mu ciężyć bo było bardzo małe a jednak krok jego stawał się coraz wolniejszy, im bardziéj zbliżał się do trzech ogromnych sosen, które na wierzchołku pagórka rosły. Nieraz przystawał i przyciskał ręką serce, jak gdyby mu brakowało oddechu. Stanął wreszcie przy sośnie, laska i zawiniątko wyśliznęło mu się z rąk, wyciągnął ramiona ku miasteczku które ztąd ujrzał, i mówił coś cicho do siebie. Potem rzucił się na wrzosy i płakał i szlochał jak dziecko.

Co za myśli przechodziły wtedy po głowie tego samotnika, jakie uczucia napełniały jego piersi?

Poeta, któryby swojego bohatera postawił w tem położeniu, możeby nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ale dla mnie nie jest to wcale trudnem bo podróżnym tym byłem ja sam.

A od tego czasu nie tak dużo jeszcze lat upłynęło żebym nie zapamiętał najmniejszych szczegółów téj chwili. Miasto, morze, trzy sosny, i wszystko naokoło mnie było jakoby księgą mojego żywota, w któréj każdy wiersz, każda kartka łzami i cierpieniem była napisana. Przedewszystkiem stanęła mi przed oczyma portowa ulica, na któréj leżał maleńki dom mojego ojca. Chciałem go raz jeszcze zobaczyć bo przed ojcem stanąć nieodważyłbym się. Na wszystkie moje listy, które z więzienia do niego pisałem, nie odebrałem ani jednego słowa miłości, pociechy i przebaczenia. Na ostatni nawet list, przed ośmią dniami pisany, w którym donosiłem mu, że dziś właśnie w dzień jego imienin opuszczam więzienie i stanę przed nim jako dobry i rozumny człowiek, nie odebrałem żadnéj odpowiedzi.

Kiedy zachodzące słońce zniknęło już z dachów i kościołów mojego rodzinnego miasteczka, kiedy już dosyć ciemno się zrobiło, kiedy już żywéj duszy naokoło siebie nie widziałem, podniosłem się, zawiesiłem znowu zawiniątko na lasce i poszedłem prosto drogą do miasta. Głucho odbijały się moje kroki na pustych ulicach i głucho biło mi serce w ścieśnionéj piersi!

Przechodząc koło ratusza, zobaczyłem starego policjanta, który tak samo jak wtedy z odkrytą głową, bez żadnéj broni stał zamyślony, spoglądając na próżny stół przy którym kiedyś stara Mellerowa tak się uwijała. Czyby Mellerowa umarła że policjant

taki smutny? Dla czegoby nie miała umrzeć? Była to już stara kobieta, zupełnie w wieku mojego ojca; na tę myśl zimno mi się zrobiło; szybko pobiegłem daléj i wnet stanąłem na ulicy portowéj, przed znanym mi domem. Dzięki Bogu! zobaczyłem światło przez zamknięte okiennice. Dzięki Bogu!

Zebrawszy wszystkie siły postanowiłem zrobić to com powinien był już dawno uczynić wejść — rzucić się do nóg ojca — i zawołać przebacz mi! Uchwyciłem za klamkę, która dla mojéj gorącéj ręki wydała się jakby z lodu — wszedłem. Właśnie stara służąca ojca Agnieszka, przechodziła przez sień z jednéj strony domu do drugiéj. Jak owego smutnego wieczora. Ale wyglądała zupełnie inaczéj: miała na sobie czarną suknię z białą obwódką, na głowie biały czepek z czarną obwódką, a na mnie przybysza patrzała zaczerwionemi od płaczu oczami.

— Agnieszko! zawołałem.

— Jerzy! Wielki Boże! zawołała stara wyciągając do mnie ręce. Jerzy! i ujęła mnie za obie ręce i łzy polały się z jéj oczów strumieniem, a usta niebyły w stanie nic powiedzieć. I nie było co mówić, domyśliłem się wszystkiego.

— Kiedy?

— Ośm dni temu, szlochała stara, w sam dzień swoich imienin.

— Na co umarł?

— Nie wiem i nikt nie wie doktór Baltazar powiada że sam tego nie rozumie. Od chwili kiedy uciekłeś nigdy nie był zdrów i ciągle było mu gorzéj, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Przed dwoma tygodniami położył się, ale nigdy nic nie mówił tylko pisał coś w swoim dzienniku. W wilję śmierci późno w noc, pisał jeszcze. Kiedym rano przyszła do niego już nie żył. Dziennik leżał na kołdrze, wzięłam go do siebie i nikomu nie pokazałam kiedy przyszli i opieczętowali wszystko. Słyszałam nieraz jak pisząc wymawiał twoje imię, ale co pisał nie wiem bo czytać nie umiem; przyniosę ci go.

Otworzyła drzwi do pokoju ojca, w którym wszystko tak było jak dawniéj, na stole paliła się lampa.

— Dla czego się lampa pali?

— Bo mają dziś wieczór przyjechać.

— Kto ma przyjechać?

— Sara, jéj mąż i jéj dzieci czy nie wiesz o tem?

— O niczem nie wiem! Oto leży mój ostatni list nierozpieczętowany — nie czytał go nawet.

Usiadłem na krześle przed biórkiem, na krześle, któregobym dawniéj nieśmiał się dotknąć, które więcéj dla mnie znaczyło niż tron królewski. Całe ubiegłe życie stanęło mi znów przed oczami, byłbym chętnie zapłakał ale płakać nie mogłem. Stara stała przedemną z książką. Znałem ją dobrze bo w niéj ojciec co wieczór, ukończywszy pracę, zapisywał wypadki, wrażenia, myśli swoje. Co w niéj było? Niewiedziałem dotąd bo ją ojciec starannie zamykał. Teraz leżała przedemną otwarta, przewracałem jedną po drugiéj kartkę zapisaną drobnem i wyraźnem pismem, które aż do śmierci nic się niezmieniło chociaż książka miała już czterdzieści lat, chociaż atrament na pierwszych stronnicach zupełnie zżółkł. Dopiero na ostatniéj stronnicy stało się krzywem niezgrabnem, a ostatni wyraz zaledwie przeczytać mogłem, było to moje imię. I wszędzie na wszystkich kartkach, które należały do ostatnich dwudziestu siedmiu lat, było moje imię.

„Dzisiaj urodził mi się syn tęgi chłopak, powiadają że nigdy tak silnego dziecka niewidziano, że podobniuteńki jest do św. Jerzego. To też będzie miał na imię Jerzy i będzie pociechą i podporą mojéj starości. Niech to Bóg sprawi.“

„Jerzy tęgo idzie do góry“ tak było napisano w innem miejscu — jest już większy od brata Fryderyka i zdaje się że ma dobrą głowę. Na swoje trzy lata ma ządziwiające pomysły, niedługo trzeba go oddać do szkoły.

„Organista Folrad niemoże się nachwalić Jerzego: w naukach mógłby iść lepiéj ale serce złote. Będzie to silny i waleczny mężczyzna.

Jerzy paradny chłopak, tęgi chłopak.“

Nastały inne czasy, Jerzy nie był już ulubionym synem; Jerzy broił w szkole, w domu na ulicy i wszędzie, Jerzy był nicpoń, ale może się poprawi, z pewnością się poprawi bo to paradny chłopak!

A potem na wielu stronnicach nie było wcale imienia Jerzego, tylko zanotowano niektóre rodzinne wypadki, śmierć matki, straszną wiadomość o utonieniu brata, pójście za mąż siostry, narodziny kilku wnuków, awans na referenta, dodatek do pensji, gratyfikacja, ale imię Jerzy przepadło zupełnie.

Przepadło! nawet na ostatnich stronnicach napisane tylko było: że się znowu *nim* zajmuje, że w więzieniu musi *on* dużo cierpieć, że pan dyrektor Zehren znowu się zapytywał czy *mu* już wreszcie po tylu latach nie przebaczę.

„Chciałem dziś napisać do niego, ale niemogłem się przezwyciężyć, kiedy powróci powiem *mu* żem go ciągle kochał, ale mu napisać tego niemogłem.

A na ostatniéj stronicy stało.

„To nieprawda, z pewnością nieprawda!

Przez półsiódma roku był dobrym, wzorowym a w ostatniéj połowie miałby się zupełnie zepsuć! Niedobrze coś mówią o nowym dyrektorze! Zmarły był zacnym człowiekiem i ciągle chwalił go. Nie, nie! cokolwiek bądź syn mój nie jest złym człowiekiem.

Za ośm dni będzie wolny, tak stało na ostatniéj stronnicy, zobaczy mnie chorego a kto wie czy mnie zobaczy. Chciałbym go jeszcze raz ujrzeć, więcéj dla niego niż dla siebie, bo wiem że go to bardzo zaboli, kiedy mnie już żywego niezastanie. Wczoraj śniło mi się że był przy mnie, żem go ściskał w mojem objęciu i mówiłem do niego: Jerzy...

Pałającemi oczami wpatrzyłem się w próżną kartę. Zdawało mi się że się na niéj pokażą słowa, niepokazały się a gorzkie i bolesne łzy wszystko mi zakryły.

— Nie płacz Jerzy! mówiła stara, wiem z pewnością, że cię więcéj kochał niż wszystkie inne dzieci. A chociaż umarł, z żalu i gniewu na ciebie, był to już człowiek w wieku, a teraz jest już u naszego Ojca w niebiesiech, gdzie mu daleko lepiéj niż tu. Chociaż Bogiem się świadczę że przez całe trzydzieści lat com u niego służyła o tem tylko myślałam, żeby mu we wszystkiem dogadzać.

— Wiem o tem i dziękuję ci za to po tysiąc razy! zawołałem ściskając i całując starą naszą gospodynię.

— A teraz powiedz mi co myślisz z sobą zrobić? Co mogę dla cię uczynić?

— Ach ty biedny chłopcze! odpowiedziała; ty sam będziesz miał dużo około siebie kłopotów. Będziesz musiał ciężko na życie pracować, bo on niedużo po sobie zostawił. Był tak dobry — wszystkim pomagał a nawet zapłacił za mnie miejsce w domu przytułku aż do śmierci. Do tego jeszcze i Sara musi wziąść swoją część; musicie się równo podzielić bo chociaż niezostawił testamentu, ale słyszałam to z jego własnych ust i przysięgnę na to, gdybyście się o spadek niechcieli pogodzić.

W téj chwili zapukano mocno do drzwi.

— A mój Boże! zawołała stara, już przyjechali.

I wybiegła szybko z pokoju.

Przyszło mi zaraz na myśl, że siostry nigdy nie kochałem, żeśmy żyli z sobą w jawnéj nieprzyjaźni, żeśmy się już prawie zupełnie zapomnieli, ale cóż to wszystko znaczy? Utraciwszy ojca powinniśmy sobie podać ręce nad jego grobem.

Poszedłem do sieni w któréj już pełno było osób. Wysoka sztywna blada pani w czarnem ubraniu, mały okrągły czerwony mężczyzna w mundurze urzędnika celnego i około pół tuzina dzieci różnego wieku i wzrostu od 12 lat aż do dziecka przy piersi. Kiedym na progu stanął wielka, sztywna pani przycisnęła dziecko do siebie i patrzała na mnie więcéj nieprzyjazna niż przerażona. Mały okrągły urzędnik, widocznie zmięszany, wysunął się naprzód przed matkę i dzieci i rzekł:

— Nie spodziewaliśmy się zastać cię tu kochany szwagrze! hm! ale dobrze się zrobiło hm! moja droga żona przebierze się tylko trochę hm, my tymczasem oba pójdziemy do pokoju zgasłego ojca i pogadamy spokojnie o interesach. Czy tak moja droga żono?..

Siostra pędząc przed sobą dzieci udała się do pokoiku Agnieszki, a my poszliśmy do pokoju ojca, ja usiadłem na krześle przed biórkiem a szwagier biegał ciągle po pokoju i gadał mi niestworzone rzeczy. Z tego wszystkiego tyle tylko zrozumiałem, że on i kochana jego żona, mieli tę błogą nadzieję, że już nigdy z więzienia nie wyjdę i że w każdym razie niejest to bardzo przyjemna rzecz dla królewskiego urzędnika mieć szwagrem człowieka, który siedział w więzieniu.

Trudno mu będzie teraz zrobić karjerę w urzędzie, że gdyby był to przewidział.....

Mały spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. Siedziałem cicho i spoglądałem na niego z politowaniem, zwłaszcza że byłem olbrzymem w porównaniu do jego małéj, pękatéj figurki i że dopiero co wyszedłem z więzienia. To wszystko wziąwszy na uwagę zmienił nagle ton mowy i rozpoczął długą litanię o smutnem życiu, jakie pędzić musi mały urzędnik na granicy, że namówiony przez żonę, która chciała chorego ojca pielęgnować, przybył tutaj, że stary umarł prawie nagle, że życie tu bardzo drogie, że podróż z tyloma dziećmi bardzo mozolna, że jeżeli spadek mały, to podzielony na dwoje jeszcze się zmniejszy... nie mogłem dłużéj wytrzymać.

— Czy znałeś wprzód tę książkę? zapytałem się kładąc rękę na dzienniku ojca.

— Nie.

— Zostaw mi tę książkę — niechcę nic więcéj z dziedzictwa po moim ojcu. Jest to jego dziennik, który dla ciebie niema żadnéj wagi, czy dobrze?

— Wybornie, to jest hm, niewiem czy moja żona hm, trzebaby wprzód zobaczyć odpowiedział rzuciwszy podejrzliwem okiem na książkę.

— To ją przejrzyj!

Teraz ja zacząłem znowu biegać po pokoju, a mały mąż mojéj kochanéj siostry przeglądał książkę z wielką ciekawością. Oczywiście niechodziło mu o to żeby przeczytać co w niéj było napisane bo przewracał szybko kartki, pukał w oprawę, zaglądał w grzbiet, a widząc że metoda do niczego go nie doprowadzi wstał i zacierając ręce rzekł hm.

— Czy chcesz? zapytałem.

— No tak — dobrze — rozumie się, to jest trzebaby to na pismie zrobić — kilka wierszy tylko — a potem przed notarjuszem.

— Jak chcesz i kiedy chcesz.

— Natychmiast.

Napisałem stosowne zrzeczenie się spadku, włożyłem dziennik do zawiniątka i wziąłem laskę w rękę. Mały człowieczek patrzał na mnie jak gdybym dostał pomięszania zmysłów, a jednak radość przebijała się w jego oczach.

— Już odchodzisz, a żony mojéj nie pożegnasz?

— Nie pragnąłem widzieć się z siostrą wybąknąłem i wyszedłem z pokoju. W sieni uściskałem starą Agnieszkę i stanąłem na ulicy. Co się daléj zrobiło zaledwie pamiętam: wszystko widzę przed sobą jakby mi się tylko śniło żem był na cmentarzu, żem klęczał, płakał i modlił się na grobie mojego ojca. że przechodząc koło willi radcy handlowego ujrzałem wszystkie okna oświetlone, słyszałem muzykę i tańce, że mała Hermina dziś już siedemnastletenia panna, tańczy tam także jeżeli nie umarła. Tak mi było smutno na duszy jakby cały świat wymarł jakbym ja tylko jeden sam pozostał. Wiedziony instynktem poszedłem prosto do portu i całemi piersiami wciągałem w siebie morskie powietrze, które mi nowego życia dodało. Nie — nie cały świat wymarł jest jeszcze wiatr i bałwany morskie, są ludzie co mnie kochają i których ja także z całéj duszy kocham.

Przy brzegu stał parowiec a na debarkaderze zebrała się znaczna gromada ludzi. Przyszła mi zaraz myśl że na tym parowcu mogę najprędzéj dostać się do stolicy. Namyślając się co mam zrobić, ujrzałem jak koło mnie przenosili tragi, używane zwykle do przenoszenia ciężko chorych.

— Co to jest? zapytałem stojących.

— Palacz na *Elżbiecie* złamał nogę, mówił jeden.

— Niesiemy go do szpitala mówił drugi.

— Biedny człowiek powiedziałem.

— Prawdziwie biedny, odezwał się trzeci, żona niedawno mu umarła, a ma ośmioro dzieci.

Właśnie wyniesiono chorego. Był to wysoki, silny mężczyzna a jednak jęczał z boleści, chciano go ułożyć na nosze, ale tak niezgrabnie zabrano się do tego, że jeszcze mocniéj krzyczeć począł.

Odtrąciłem kilku przypatrujących się, podniosłem z ziemi chorego i jakby piórko położyłem go na noszach.

— Dziękuję panu, przecież znalazł się choć jeden rozumny człowiek.

Zaczęli go nieść a ja szedłem przy nim pilnując żeby noszami nie trzęśli.

— Oto macie na piwo a nieście go ostrożnie jak dziecko, potem nachyliłem się nad chorym, szepnąłem mu do ucha i włożyłem mu ofiarę w rękę czego nikt nie usłyszał ani widział. Potem wróciłem na brzeg a w téj saméj chwili pokazał się na debarkaderze kapitan i rzekł:

— Czy niechce kto z was zastąpić Karola Nikmana,— dobrze zapłacę?

Stojący spojrzeli po sobie, nikt się nie ofiarował.

— Ja go zastąpię odezwałem się zbliżywszy się do kapitana.

— Wybornie. Ale czy umiesz co robić na okręcie?

— Zdaje mi się że umiem.

— Czy możesz zaraz zostać?

— Nic mnie tu nie zatrzymuje.

ROZDZIAŁ XVIII.

O godzinie szóstéj wieczór *Elżbieta* wypłynęła z portu, a ja od trzech już godzin stałem przy ognisku i palił pod maszyną parową. Robota szła mi dobrze a nawet około saméj maszyny potrafiłem to i owo obsłużyć. Nie pytałem się o nic maszynisty bo tego nie potrzebowałem, to mruczał też sobie ciągle pod nosem i dziwnie na mnie patrzał widząc że znam się tak dobrze na mechanice. Prawda żem mu wprzód powiedział, żem nowicjusz w téj gałęzi alem go nie objaśnił, że od zgasłego dyrektora nauczyłem się teoretycznie na małym modelu z jakich części składa się machina parowa i jak z nią należy się obchodzić. Robota szła mi dobrze, bo pracowałem tak zawzięcie że w przeciągu kilku godzin zmieniła się do niepoznania. Włożyłem prostą bluzę ale węgle i dym tak mnie ładnie ufarbowały, że nawet pan doktór Snellius niebyłby mię poznał z pewnością. Stojąc przed ogniskiem myślałem sobie o śmierci ojca, o widzeniu się z siostrą a najwięcéj o tem, co się teraz ze mną stanie jaka będzie moja przyszłość? To ostatnie pytanie rozwiązał nowy mój stan palacza. Przypomniałem bowiem sobie słowa mego nieodżałowanego dyrektora: tylko praca czyni nas niezależnymi, tylko paca zapewnia nam szlachetny byt, tylko praca robi nas zacnymi ludźmi, słowa które w téj chwili sprawdziły się na mnie co do joty. Choć umorusany i okopcony poczułem że jestem panem u siebie przy ognisku, że jestem panem mojego losu. Kiedyś z litością patrzałem na Klausa gdym go przy piecu na *Pingwinie* zobaczył. Biedny Klaus bardzo się o mnie wtedy i późniéj nafrasował, a może jeszcze i teraz... teraz nie! przekonałem się że mogę stać na własnych nogach, daleko pewniéj niż maszynista który jakoś potaczał się daleko mocniéj niż ludzie ciągle na wodzie żyjący. Wyśledzili go że zawsze w porcie ze swojemi kolegami kilka szklanek szwedzkiego ponczu wychyla i wraca chwiejący się ale nigdy pijany. I teraz stanął sobie przy maszynie na przodzie i zamyślił się tak głęboko, że można było przysiądz że śpi.

— Panie Feuergang! Ciepłe płyty na górę! Prędko! zawołano na dół do maszyny.

Maszynista spojrzał na mnie — zrozumiałem o co idzie.

Pasażerowie, szczególniéj damy skłonne do morskiéj choroby, nie mogą wysiedzieć w kajutach i muszą wyjść na pokład, a jeżeli wiatr jest zimny to obok ciepłego ubrania są na każdym parowcu umyślnie do tego ulane żelazne płyty, które rozgrzane podkładają się im pod nogi.

Byłem więc palaczem! Dziwnie mi trochę było żem wypełniał takie obowiązki, o jakich nigdy nie śniłem. Ale sam je przyjąłem trzeba więc je sumiennie spełnić. W pięć minut potem byłem już na pokładzie z rozgrzaną płytą. Nie wiele było na nim osób, może dziesięciu pasażerów tu i owdzie kryjących się przed wiatrem.

— Tutaj! mój dobry przyjacielu, tutaj! Zawołał znajomy mi głos. Kiedym się odwrócił ujrzałem przed sobą radcę handlowego Strebera. O mało mi płyta nie wyleciała z rąk.

— Tutaj, tutaj mój przyjacielu powtórzył, trzymając się lewą ręką liny od kotwicy a prawą przyciskając do siebie jakąś kobiecą postać, która skierowała ku mnie swoją twarz okrytą zupełnie łabędzim kapturem. Była to śliczna miła dziewicza twarz, któréj policzki zaczerwieniły się energicznie od morskiego wiatru, a jasne niebieskie oczy dziwnie odbijały się od szaréj wody i szarego powietrza. Już siedem lat nie widziałem téj twarzy, z dziecka wyrosła na dziewicę ale oczy jéj i usta zostały jak wprzód dziecięce, po tych ustach i po tych oczach poznałem ją. Krew uderzyła mi do głowy, wstyd mnie ogarnął stanąć przed przyjaciołką mojéj młodości w takiem ubraniu i z taką czarną twarzą. Było to moje szczęście, bo spojrzała na mnie i nie poznała.

— Tutaj dobry przyjacielu, odezwała się tutaj połóż płytę. I usiadła w krześle, podniosła trochę sukni i na chwilę pokazały się moim oczom dwie najpiękniejsze w świecie nóżki.

— Jeżeli masz gotowe płyty to mi przynieś jeszcze jedną — zimno mi.

— I dla mnie jedną! wołał radca handlowy.

— I dla mnie jedną jeżeli wolno prosić! odezwał się gruby głos z boku a wychodził z ust opakowanych szalami i chustkami, z pod których widać było żółte loki, które do nikogo nie mogły należeć tylko do panny Pauliny Bete.

— I mnie także — i mnie także, wołano ze wszystkich stron.

— Ale dla mnie najpierwéj! wołał radca handlowy, wiesz przecie kto ja jestem.

d. c. n.

EKONOMJA DOMOWA

prelekcja publiczna p. E. Hippeau

w Paryżu.

(Dalszy ciąg).

Użycie i rozkład czasu.— Systematyczność.— Doskonalenie się moralne.— Plan życia ułożony przez Franklina.— Sokrates i Xenofont.

Pojmujemy już dzisiaj należycie, iż instrukcja bardzo szeroka nie jest bynajmniéj przeszkodą do wypełnienia obowiązków, jakie zarząd na kobietę wkłada. Owszem ułatwia jéj to zadanie, dodaje mu wdzięku i uroku, kształcąc jéj sąd, przyzwyczajając do trafności w spostrzeżeniach, do rozwagi i zastanawiania się, do zapatrywania się poważnego na życie, które ma być poświęcone szczęściu drugich. Nauka namaszcza jéj czynności i postępowanie charakterem moralnym, wlewającym w nią siłę, uświęcającym jéj władzę i powagę. Służąc sama za przykład drugim, zdobywa sobie prawo do przewodniczenia, do kierowania niemi.

Praca, ten główny warunek obfitości i dobrobytu rodzin, tem większe wyda plony im roztropniéj będzie zarządzana, im trafniéj i systematyczniéj rozłożone będą godziny z których dzień się składa. Lecz skoro się téj systematyczności ma wymagać po osobach któremi zarządzamy, czyż nie słusznie należy najprzód ją sobie samym nakazać?

W tygodniu jest dzień jeden, który głównie poświęcony na poważne i dziękczynne rozmyślanie. Nie można lepiéj zużyć części dnia tego, jak na uporządkowanie czynności zaniedbanych w ciągu upłynionego tygodnia, a które w następnym mają być podjęte i ukończone. Każdy pozna zbawienność takiego obrachowania się z sobą, i korzyści z zastanawiania się nad najlepszem spożytkowaniem swojego żywota, nie tylko we względzie roztropnego rozkładu czasu, ale także i przedewszystkiem dla swego moralnego udoskonalenia.

W celu stwierdzenia dowodem pożytku z podobnego obrachowania się z sobą, przypomnę tu plan życia jaki dla siebie nakreślił jeden z najmędrszych ludzi upłynionego stulecia: Benjamin Franklin.

Założywszy sobie zadanie pracować nad moralnem swojem udoskonaleniem, zebrał pod dwunastu nadpisami cnoty najważniejsze według jego pojęcia, i w następny sposób sformułował obowiązki, które na siebie nałożył, jako niezbędne do nabycia tychże cnót.

1. Wstrzemięźliwość. Nie jedz do zbytku, nie pij do odurzenia.
2. Milczenie. Mów tylko to co się przyda innym lub tobie samemu.
3. Porządek. Niechaj rzecz każda ma u ciebie swoje miejsce, każda czynność swój czas.
4. Moc postanowienia. Zrób postanowienie to czynić co powinieneś i nie zaniedbuj uczynić co postanowiłeś.
5. Oszczędność. Wydatkuj jedynie dla dobra drugich i dla własnego, to jest nie trwoń nigdy.
6. Praca. Nie trać czasu, pracuj zawsze nad czem pożytecznem, powstrzymaj się od wszelkiego niepotrzebnego zajęcia.
7. Szczerość. Nie używaj nigdy wykrętów niegodziwych. Niech myśl twoja będzie zawsze niewinna i sprawiedliwą, mów jak myślisz.
8. Sprawiedliwość. Nie szkodź nikomu ani przez wyrządzenie krzywdy, ani przez zaniedbanie dobra jakie uczynić obowiązek ci nakazuje.
9. Umiarkowanie. Unikaj ostateczności, strzeż się czuć wyrządzone krzywdy tak żywo ile na to z pozoru zasługują.
10. Czystość. Nie znoś żadnego nieochędóstwa ani na sobie, ani w odzieży, ani w mieszkaniu.
11. Spokojność. Nie poddawaj się niepokojowi z przyczyny bagatelnych rzeczy, ani wypadków zwyczajnych i nieuchronnych.
12. Pokora. Naśladuj Jezusa.

Franklin nie układał teorji bez ich zastosowania, i oto jak się wziął do dzieła. Zrobił sobie książeczkę o dwunastu stronicach i na kolumnie każdego z dni tygodnia, zaznaczał czerwonym punktem popełnione błędy.

Ponieważ przepis porządku wymagał, ażeby każda w dniu godzina miała określone zajęcie, każda więc stronica zawierała podział dwudziestu czterech godzin każdodziennych.

Godzina 5-ta, wstać, zwrócić myśl ku Boskiéj Opatrzności i łasce.
6-ta, uporządkować czynności na cały dzień.
7-ma, zająć się załatwieniem interesów bieżących. Śniadanie.
Od 8-éj do 11-éj praca.
12-ta w południe, czytać, sprawdzać rachunki.
1. Obiad.
Od 2-éj do 5-téj praca.
Godzina 6-ta, ułożyć wszystko na swojem miejscu. Wieczerza.
Od 7-éj do 8-éj, muzyka, zabawa, rozmowa.
Od 9-éj do 10-éj, obrachunek z sobą z całego dnia, modlitwa, spoczynek.

Artykuł o porządku, powiada Franklin, najwięcéj mi był kłopotliwym. Znajdowałem iż mój plan rozkładu dnia trudnym był do wykonania dla człowieka zmuszonego utrzymywać liczne stosunki w świecie, i przyjmować w godzinach dogodnych dla osób z któremi jest w interesach. Nie byłem wcześnie nazwyczajony do téj metody, a mając wyborną pamięć nie czułem niedogodności braku porządku.

Na tym punkcie byłem niepoprawnym.

Zresztą, przyda się może komu ta wiadomość, iż właśnie mojemu systematowi, z pomocą Bożą, zawdzięczam niezmierną szczęśliwość całego mego życia, aż do 79 roku w którym to piszę.

W ręku Opatrzności są złe przygody jakie dalszemu życiu towarzyszyć mogą, lecz jeżeli przybędą, rozpamiętywanie przeszłości doda siły by znieść je z poddaniem, z cierpliwością.

Przypisuję: wstrzemięźliwości, moje długotrwałe zdrowie, pracy i oszczędności dostatek który osiągnąłem wcześnie i z niego wyrosłą zamożność, a zarazem wszystkie wiadomości, które mię postawiły w stanie wywiązania się z powinności użytecznego obywatela, które mi zjednały pewien stopień wziętości pomiędzy uczonymi. Szczerości i sprawiedliwości, winien jestem zaufanie którem darzy mię mój kraj, urzęda które mi powierzono, w końcu połączonemu wpływowi wszystkich tych cnót tę jednostajność humoru, wesołość w rozmowie, dla któréj moje towarzystwo jest pożądanem, przyjemnem nawet dla młodzieży.

„Mam zatem nadzieję mówi w końcu Franklin, iż przykład mój znajdzie naśladowców. Zamiarem moim jest dowieść iż ktokolwiek pragnie szczęścia, w interesie jego leży aby być cnotliwym“.

Oto w całości ów testament przekazany przyszłym pokoleniom, ten znakomity plan życia, mądry czasu rozkład, nakreślony przez filozofa, który między swoimi współziomkami upowszechnił ową maxymę tak dziś popularną. „Czas, to pieniądz.“

W tem zawiera się także dowód, iż porządek i systematyczność nieodzowne w ustroju domowym, wiążą się ze względami moralnemi wysokiéj sfery.

Przez urządzenie życia dokonywa się urządzenie swoich materjalnych interesów, a właśnie zaprowadzając porządek w duszy, można go zaprowadzić we wszystkiem.

Użycie czasu, roztropne rozporządzenie godzin i trafny rozkład pracy, są bardzo właściwemi środkami do pomieszczenia wielu spraw i czynności w najkrótszym czasu peryodzie.

A więc potrzeba nam skąpić czasu, nie wypuszczajmy z rąk naszych godzin, jak tylko z oszczędnością, z pożytkiem, i tak niechętnie jak gdybyśmy złoto wydawali. Nie pozwólmy ani jednemu z dni naszych upłynąć bez pozostawienia nam jakiejś umiejętności lub cnoty.

We wszystkich epokach, u wszystkich pisarzy napotykamy też same myśli, o konieczności oszczędzania czasu i rozporządzania nim przezornie.

Jeden z najbardziéj zajmujących wzorów całego szeregu powinności do jakich powołaną jest kobieta, znajdujemy u Xenofonta, ucznia Sokratesowego.

Xenofont, bohater i historyk, był zarazem wielkim myślicielem. W księdze zwanéj *Cyropedia*, to jest wychowanie Cyrusa, daje on ubocznie rady nauczycielom, opowiadając o męzkiem i hartownem wychowaniu króla Persów.

W innéj książce przywodzi pamiętne rozmowy swego mistrza Sokratesa we wszelkich przedmiotach, przez tego wielkiego filozofa traktowanych, a w szczególności o staraniach potrzebnych w zarządzaniu rodziną.

Wiadomo wszystkim, iż cała starożytność poczytywała Sokratesa za najmędrszego z ludzi, i słusznie mu się należy to miano.

Poświęcił on całe życie nauczaniu współczesnych. Nie był to profesor prawiący z katedry. Nauczał wszystkich, na publicznych placach, wszędzie gdzie się sposobność trafiła do wyłożenia jego zasad filozoficznych, a filozofia ta całkiem praktyczna, uczyła bowiem nie dobrze mówić, lecz dobrze myśleć i dobrze żyć.

Metoda jego była wyborna. Wychodząc z téj zasady iż wszyscy ludzie mają mnóstwo myśli z których sobie nie umieją zdać sprawy, chyba że są podnieceni, potrafił zawsze doprowadzić ich do tego, że sami prawdę znachodzili, a to za pomocą zręcznie postawionych pytań i zwracania ich ciągle do zasad zdrowego rozsądku.

Co się tycze dzieła Xenofonta pod tytułem *Ekonomika*, dodano, iż było starannie przełożone przez p. Talbot, i posłużyła niejednemu z naszych najznakomitszych pisarzy i mówców, jako punkt wyjścia w ich studyach nad rodziną, jéj znaczeniem, potrzebami i obowiązkami.

Rodzina stanowiła podstawę starożytnego społeczeństwa: jednem z najważniejszych zadań do rozwiązania było zarządzanie rodziną.

Znał to dobrze Sokrates, i tym którzy chcieli zawiadywać państwem, radził bezustannie brać sobie za przykład zarząd domowy, z niego zawsze czerpać naukę i porównanie do rządzenia sprawą publiczną. Pewnego dnia, mówi Xenofont, od rana wyszedłszy według przyjętego zwyczaju, zwrócił swoje kroki ku portykowi świątyni Minerwy, aby się dowiedzieć od swego przyjaciela Iromacha, jakim sposobem on lepiéj aniżeli drudzy swoim zarządzał domem.

— „Ja czuwam na zewnątrz, — odrzekł tenże, — a moja żona czuwa wewnątrz.

— Któż żonę twoją uzdolnił do takiego nadzoru? Czy jéj ojciec i matka dali ci ją tak wyuczoną?

— Kiedy ją poślubiłem miała dopiero lat piętnaście. Wychowaną była tak że mało wiedziała, mało słyszała, mało się zapytywała. Umiała prząść wełnę, szaty przysposabiać, rozdać kądziel służebnym.

— Jakże ją wyuczyłeś?

— Najprzód pomodliłem się i złożyłem ofiarę Bogom, wzywając ich by mię oświecili co będzie najlepszem dla niéj i dla mnie. Potem rzekłem do niéj: jest w mocy męża i żony dopomagać sobie wzajemnie w każdéj przygodzie, i tak dobry ład wprowadzić w swojem mieniu iż się pomnażać będzie uczciwym sposobem.

— Ale w czemże — odparła żona — ja mogę przyczynić się do tego pomnożenia?

— Możesz, i wiele, chyba że matka pszczół która rządzi nie wiele ma znaczenia.

Słuchaj więc małżonko moja, wszystko co posiadam, tobie oddałem, a ty oddałaś mi wszystko co twoje. Nie zdało się roztrząsać które z nas więcéj przyniosło, kto z nas zdolniejsze, lepsze lub bogatsze. Lecz ku pomnożeniu tego mienia, obowiązki i możność nasza są odmienne a jednak równe.

Dwa są rodzaje zajęć zadomowe i domowe.

Za domem rola, nadzór roboty, wychowanie drzew, zbiór plonów.

W domu odbiór i zachowanie zboża i wełny, rozdanie pracy robotnicom.

Mężczyznę Bóg silniejszym utworzył, jemu przypada zajęcie za domem.

Kobieta czuwa w domu, jako pszczół królowa która z domu nie wychodzi i nie da popróżnować roboczym pszczołom. Wysyła je na dzienną robotę, ogląda co każda przyniosła, chowa, wydziela, pilnuje wyrobu wosku, ma pieczę o nowonarodzonych. Zatrudnienia piękne, miłe, urocze, dają jéj królowéj miano. Oto czem jesteś moja małżonko w twojem gospodarstwie.

Daléj Iromachus opowiada jak na wstępie oprowadził żonę po całym domu, pokazał jéj różne komnaty, uwiadomił o ich przeznaczeniu: pokoje letnie, zimowe, dzielnicę męzką i kobiecą przegrodzone od siebie łaźniami, oddał jéj wszelkie sprzęty, naczynie spiżowe, zapasy zboża, pieniądze. I wyłożył jéj piękne stanowisko jakie jéj przypada w tem małem państwie, którego ona jest władczynią.

Rozporządzać liczną służbą, zawiadywać dostatkami, nauczać robotnice tego co sama umie, od nich nawzajem uczyć się czego nie zna, wychowywać dzieci, nagradzać, ulepszać domowników, wszystko urządzać w ład oczom miły, i saméj pracować jest to upiększać się, bo praca piękniejsze od różu kolory licom nadaje.

— Oto zajęcie twoje, dodał, przez czas kiedy ja się za domem zatrudniam.

Ale jest coś jeszcze nad czem nam wspólnie pracować potrzeba, i co Bóg postawił między nami jako wysoką nagrodę o którą oboje współubiegać się mamy, to jest panować nad naszemi namiętnościami, nie mieć gniewu, kaprysów, samolubstwa, lekkomyślności, nie zaniedbywać żadnéj z naszych powinności. Wszystkie one są święte.

Które z nas będzie lepszem, to pozyska nagrodę. A więc starajmy się każde ze swéj strony jak najlepiéj nasz obowiązek spełniać.

Największą mi będzie rozkoszą jeżeli ty się okażesz lepszą odemnie.

Piękny ten obraz rozlicznych zajęć jakich prowadzenie domu wymaga, to wyliczenie zasad i upomnień, dowodzi iż nauka życia domowego jest pracą ważną i rozleglejszą niżeli się zwykle wydaje. Widzimy tam młodą grecką dziewicę, odbierającą od rodziców wychowanie bardzo proste i skromne, następnie mąż zajmuje się dalszem jéj wykształceniem, i w duchu religijnym czerpie natchnienia zanim małżonce wskaże co jest jéj powinnością, w miłości zachęca ją aby dobrą była i poświęconą dla męża, dla dziatwy i służebników. A potem odzywa się do jéj duszy, wkładając na nią obowiązek dążenia ku udoskonaleniu się w czem jéj wyższości pragnie.

Dzisiaj obie te fazy wychowania są w ręku matek i nauczycielek.

Młoda osoba wstępuje w dom swój przygotowana do rządzenia sobą i drugiemi. Zawczasu zatem musi wdrożyć się w nawyknienie do porządku i rozsądnéj działalności.

Kobieta musi dowodami przekonać do czego jest zdolna, i tem tylko zyskuje stanowisko w rodzinie i w społeczeństwie.

Nawyknienie do rozwagi do obrachowania godzin, i wyznaczenia im właściwego użytku przy nakreśleniu sobie planu postępowania jaki ma przewodniczyć w spełnieniu codziennych powinności, doprowadzi ją do najlepszych celów. Uniknie tym sposobem wielu niepokojów których źródłem bywają nudy.

Kobieta czynna zachowuje dłużéj swoją młodość. Wyraz jéj twarzy będzie rozjaśniony zadowoleniem wyższem nad wszelkie uciechy. A tak zalotność nawet zyskuje na zbadaniu co daje pokój życia, co w duszę pogodę wlewa.

Wszystkie te zadania żywo dziś zatrudniają umysły mężów najznakomitszych najczcigodniejszych niewiast. Pod rozmaitemi tytułami jak: *Ekonomia domowa*, *Zarząd domu*, *Życie domowe*, *Powinności kobiet w rodzinie*, *Stadło chrześciańskie*, *Pani domu*, itd. wychodzi mnóstwo dzieł zastosowanych do rozwinięcia w młodéj osobie pojęcia obowiązków jakie jéj przyjdzie spełniać w dalszem życiu.

Obowiązki te są nader liczne: przytaczane przykłady tylko część ich przedstawiły.

Nikt, spodziewam się nie zaprzeczy téj prawdzie, iż aby czas zużytkować najroztropniéj i najkorzystniéj, potrzebnem jest dobre urządzenie się i przyjęcie planu regularnego. Ale niechże piękne plany nie zostaną na papierze. Bardzo to łatwo nakreślić sobie ustawę ścisłą i surową. lecz trudniéj ją wykonać, albo uczynić ją możebną do wykonania.

Koniecznem jest postanawiając plan życia zastosować go do swego wieku, stanu, do upodobań, do godności osób z któremi żyć mamy.

Zatem rozkład godzin dziennych, plan życia musi bywać różnym do nieskończoności a ztąd wypada mi ograniczyć się na postawieniu ogólnych zasad, nie sięgając w szczegóły które tylko cząstkowo mniéj lub więcéj mogłyby być zastosowane.

Nie zawsze potrzeba ucznia za rękę prowadzić, częstokroć dostatecznem jest wskazać mu tylko drogę.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Realities of Irish Life przez Stenart'a Trench.

Irlandją coraz więcéj zajmują się mężowie angielscy, pojmując że kwestja z nią nie da się przełknąć bez niebezpieczeństwa dla łykającego. Mnóstwo też wychodzi publikacji o Irlandji, a choć wartość ich niezmiernie jest rozmaitą, wszystkie mają to dobrego do siebie, że objaśniają o położeniu rzeczy i przedstawiają ją we właściwem świetle. Są w nich ostre niezmiernie przymówki dla administracji krajowéj, dla ministerstwa, dla duchownéj władzy, słowem prawda sypana szczodrą ręką, dawana tam jest w niepomiernych porcjach każdemu, którego stanowisko wymaga aby nią był nakarmiony.

Z publikacji jakie się w ostatnich czasach pojawiły, najwięcéj zajęcia obudziło dziełko p. t. Realities of Irish Life. Rzeczywisty stan Irlandji z któremi bliżéj Czytelniczki Tygodnika pragniemy zapoznać.

Autor dzieła z którego dajemy sprawozdanie jest to już człowiek niemłody blisko sześćdziesięcioletni, pozbawiony wszelkich uprzedzeń i przedstawiający stan rzeczy, jakim jest rzeczywiście z całą prawdą bez żadnych osłonek, tak jak to tylko Anglicy umieją. Syn zamożnych rodziców spokrewnionych z lordami i dygnitarzami, po ukończeniu szkół i uniwersytetu w Dublinie obrał sobie zawód rządcy ekonomicznego, wymagający w Anglji długich studji i niemałego przygotowania. Każdy inny jak medyczny i prawniczy, pedagogiczny, techniczny nie są tak trudne do zdobycia ani nie wymagają tylu przymiotów osobitych co ekonomiczny, jeżeli oddający mu pragnie wynieść się po nad poziom i przyjść do jakich takich zasobów. Nie dość bowiem być umiejętnym i praktycznym rolnikiem: nie dość być przy tem budowniczym, inżynierem, weterynarzem klasyfikatorem technologiem, chemikiem: nie dość być postępowym, śledzącym cały naukowy rozwój gospodarstwa wiejskiego, czynnym, pracowitym, sumiennym i uczciwym: w Anglji trzeba być jeszcze zdatnym utalentowanym do tego fachu jakby urodzonym na rządcę a w Irlandji nadto przytomnym, odważnym, posiadającym zimną krew, energicznym, umiejącym celnie strzelać i w razie danym nawet bić się na kułaki.

Trench wszystkie te przymioty posiada w wysokim stopniu. Kiedy przybył do Irlandji z młodą małżonką zaraz po zawarciu z nią ślubów małżeńskich, stan rzeczy był niezmiernie opłakanym. Hrabstwo całe Tipperary zawsze najburzliwsze wrzało w owéj porze cicho, tajemniczo jak podziemny huk wulkanu zwiastujący wybuch i zniszczenie. Do posiłku siadano z bronią w ręku, snu używano tylko pod jéj strażą a w podróży choćby najmniejszéj, przy każdym wzgórku, krzaczku, nizinie, drzewie lękano się morderczéj zasadzki jakby wszystko co ludzkie, co stanowi prawo i bezpieczeństwo zamarło i poszło w wieczyste zapomnienie. Przyczyna takiego rozdrażnienia było porządkowanie własności ziemskiéj któréj rozdrabnianie przeszło wszelkie granice. Dzierżawcy bowiem tamtejsi zwykli dzieciom wychodzącym z pod opieki, udzielać cząstkę posiadanego gruntu na któréj zakładają nowe osady i stają się czynszownikami. Dopóki posiadłości te były większe, dzieleniu nie stawiano żadnéj tamy bo opłata czynszu jako więcéj rąk obowiązująca była pewniejszą, Zwiększało to przytem dochody dziedzica regulującego sumę czynszów nie do osady z któréj nowe powstały ale do przestrzeni przez nie zajmowanych. Tym sposobem czynsz

rósł ale powiększało się i rozdrażnienie, bo dzierżawcy tylko sumę przywiązaną do głównéj osady uważali za obowiązującą. Powiększenie brali za nadużycie, za gwałt, któremu oprzeć czuli się w obowiązku.

Z czasem jednak gdy rozdrobnienie w gruntach, w niektórych osadach, przyszło do tego stopnia, że nowi czynszownicy zaledwie przy nędznéj lepiance, posiadali zagon ziemi na uprawę kartofli, opłata czynszu wynosząca czasami zaledwie dziesięć franków stała się niepodobną. Z rokiem więc każdym powiększały się zaległości, dziedzice ściągając ją rugowali czynszowników, którzy uważając się za ofiary najwyższéj niesprawiedliwości, mścili się napadami i morderstwem rządców, jako wykonawców i stróży praw swoich dziedziców. Energiczne wdania się władzy, którego następstwem była krwawa egzekucja jednego z pojmanych na gorącym uczynku, przywróciło chwilowo spokój i porządek.

Trench w czasie przybycia do dóbr Shirley, którego dochody miljon złotych wynosiły, zastał ogromne z lat dawnych zaległości, jakich ściągnięcie najpierwszym było jego obowiązkiem. Przeszły rządca zbyt może ścisły w postępowaniu, przez wszystkich czynszowników był nienawidzony, zwano go tyranem a kiedy umarł, cała ludność przybrała się w godowe szaty i dzień jego pogrzebu z największą radością obchodziła.

Zawiadomieni o przybyciu nowego rządcy, czynszownicy tłumnie zebrali się przed jego mieszkanie, domagając się zmniejszenia należytości jakiéj od nich żądano. Trench nie przygotowany do podobnych nawiedzin, oświadczył, że w kwestji téj jeszcze się z dziedzicem nie porozumiał, odpowiedź więc udzieli im dopiero za tydzień. Tłum odszedł w milczeniu. Tymczasem nadesłana instrukcja obejmowała oświadczenie, że dziedzic żadanie czynszowników bezwarunkowo odrzuca i zaległość cała musi być zapłaconą.

W oznaczony dzień cała prawie ludność złożona z dziesięciu tysięcy głów, zgromadziła się przed mieszkaniem rządcy. Trench, stanął na krześle i dobierając słów jak najłagodniejszych, opierając się na prawie i wzajemnych obowiązkach wykazywał im jasno i zrozumiale, niestosowność żądania i konieczność odstąpienia od niego. Lud słuchał mowy w niemem milczeniu a gdy zrozumiał wreszcie jéj osnowę, zaryczał z grozą i oburzeniem. Tysiące pięści wyciągnięto do niego, tysiące ust wydały jeden okrzyk przekleństwa i nienawiści i zdało się że go rozszarpią w kawałki. Trench stał nieporuszony, z rękami na piersiach założonemi, śmiało poglądał po tłumie, który jak bałwany morskie pieniąc się, i rycząc coraz bardziéj zbliżał się ku niemu. Stołek na którym stał drżał pod nim, chwiał się, lada chwila mógł być z nim przewróconym i tysiącami nóg zatratowany jak robak pełzający po ziemi. Nie uląkł się jednak i na chwilę nie stracił przytomności. Wówczas w tłumie zawołano.

— Dzieci na kolana, na kolana dzieci wszyscy jak jesteśmy! prośmy go na klęczkach niech pozna jak jesteśmy biedni i nieszczęśliwi.

Powaga dla starców w Irlandji jest wielka, a głos ten pochodził od starca. Tłum w jednéj chwili stał się posłuszny wydanemu rozkazowi, ugiął kolana i ręce z groźbą wyciągnięte wzniosły się teraz z błaganiem i jękiem niedoli. Trench rozrzewniony wszedł między tłum błagając żeby powstał. Lud klęcząc nie przestawał wołać.

— Ulituj się nad nami, idzie tu o nasze życie, jeżeli nie zmniéjszysz domagania się połowa z nas zostanie bez chleba i dachu.

— Nie mogę — odpowiedział Trench — a wy nie zapominajcie, że jestem tylko rządcą a nie dziedzicem.

Wówczas lud rzucił się na niego z zajadłością, suknie porwał w kawałki i bijąc, przeklinając, pędził przed sobą uciekającego ku pałacowi. Tu go niektórzy z czynszowników wzięli w swoją opiekę, i prowadząc daléj ciągle namawiali do przychylenia się do ich żądania. Trench obnażony do pasa, z gołą głową ledwo mogąc się utrzymać na nogach, zatrzymał się przy płocie i opierając się o niego aby nie upadł, zapytał.

— Czego chcecie odemnie?

— Pomniejszenia czynszu — odrzekli — odpowiedz tak albo nie, bo czas już minął na rozprawy.

Trench spojrzał w około, ale gdzie rzucił okiem, wszędzie lud czernił się, zalegał całą drogę, roił się po wzgórzach a nigdzie nie mógł dojrzeć ani pomocy, ani przyjaznéj twarzy. Wahać się więc dłużéj było niepodobieństwem, odrzekł zatem.

— Jakiegoż żądacie pomniejszenia?

— Połowy tego co dotąd płacimy.

— To niepodobieństwo — odrzekł Trench — przyrzeczenie moje byłoby kłamstwem, a ja niem nie chcę nawet życia odkupić.

Zdumienie ludu nie miało granic, wrzało w niem oburzenie ale i poszanowanie zarazem dla człowieka co chciał uczciwym zostać nawet w obec śmierci.

Nikt też nie miał odwagi rzucić się na niego, wszyscy stali w milczeniu jakby przybici do miejsca nieznaną im potęgą.

Po chwili tenże sam starzec odezwał się:

— Dzieci! rozejdzcie się, to człowiek sprawiedliwy. wyrządzona mu krzywda byłaby już podłością.

Tłum odstąpił w milczeniu, a kilku bliżéj będących podało mu kubek z wodą i widząc go bardzo osłabionym na rękach zanieśli do pałacu.

(d. n.)

PRZEGLĄD

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, TEATRALNY

I ROZMAITOŚCI.

Salomon, dramat we trzech aktach, wierszem, oryginalnie napisany przez Wacława Szymanowskiego, z muzyką Stefana Krzyszkowskiego. (Pierwsze przedstawienie d. 27 Kwietnia r. b.).

Salomon, jest to fanatyk religijny, którego dla jakiegobądź zdeterminowania miejsca i czasu, autor umieścił w szesnastym wieku w społeczeństwie polskiem w Krakowie. Mniéj praktyczny od swych późniejszych współwyznawców, szuka on złota dopiero w sztucznych związkach chemicznych, dzieląc życie swe między alchemiję i badanie ksiąg talmudycznych. Ażeby nie mieć kłopotu z wychowaniem córki, umieścił ją u przyjaciela swego rabina *Efraima*, we Frankfurcie, który słynął z mądrości i surowości religijnéj, przeznaczając ją za żonę poświęconemu uczniowi swojemu, *Rubenowi*. Ale *Sara*, mimo całą przezorność mądrego Efraima, poznała się z młodym podróżującym polakiem, *Janina*, otworzyła serce swe uczuciu miłości dla goima, a co większa z całym entuzjazmem dusza jéj zwróciła się ku zasadom Chrystusa.

W takim stanie, Efraim odwozi ją ojcu, któremu Sara z czułą śmiałością, wypowiada że nie może być żoną Rubena, gdyż pragnie Chrystusowéj wiary. Można sobie wyobrazić przerażenie ojca i kochanka na tę straszną dla fanatyków wieść. Przełożenia nic nie pomagają, Sara gotową jest na wszelką ofiarę, wiara chrześciańska stała się nietylko miłością jéj ale i głębokiem przekonaniem i w takiem położeniu zjawia się w domu Salomona młody Janina, z którym łączyły go proste stosunki pieniężne. Ten nie wiedząc, że Sara jest córką jego znajomego, zdumiał się na jéj widok i nie zważając na obecność Rubena, wydał się z łączącemi ich wzajem uczuciami, co do wściekłości doprowadziło zakochanege ucznia Salomona. Janina byłby nie wyszedł żywym z tego domu, ale rękę Rubena uzbrojoną w nóż wstrzymała ta myśl, że Sara umarłaby z boleści po śmierci kochanka. Ruben kochał Sarę miłością, wcale nie starozakonną.

Inne były uczucia ojca kiedy przejął tę tajemnicę córki. Fanatyk wziął górę nad ojcem, który, bez litości dla dziecka, zwołał na nią sąd mędrców do świątyni bożéj. Janina przeczuwając nieszczęście, czuwał nad ukochaną, ale przybył zapóźno. Salomon, na wieść o zbliżającéj się straży, nie mając czasu do przeprowadzenia formalnego sądu, nie mogąc na córce wymódz wyrzeczenia się, sam wymierzył sprawiedliwość, odbierając jéj życie dla ocalenia jéj od tego co w jego oczach było świętokradztwem.

Taką to treść wypowiedział p. Wacław Szymanowski w sposób głęboko poetyczny, ślicznym językiem, doborowym wierszem, z czego słyną wreszcie wszystkie jego utwory. Czemuż, niestety, te wszystkie piękne przymioty poezji nie wystarczają do utworzenia dramatu? Salomon byłby dziełem doskonałem. Lecz że warunkiem dramatu, są charaktery i co zatem prawie bezpośrednio idzie, akcja sceniczna a te w utworze tym są niedość żywo reprezentowane, przeto i Salomon na scenie nie czyni tego wrażenia, jakie czytelnik otrzymuje od utworów nierównie niższych poezją, lecz zręcznie do wymagań sceny zastosowanych.

Utwór ten napisany przed czternastu laty przez człowieka młodego, nosi na sobie wszystkie cechy niedoświadczenia, które porywy poetyczne nurtujące w piersi, malownicze obrazy snujące się w myśli i pięknem wynurzające się słowem, bierze za czyny i powiada sobie: piękne to jest dla umysłu, czyż to niedosyć ażeby zadowolniło słuchacza. Tymczasem widz teatralny, zgoła innych wymaga rzeczy, on przychodzi do teatru nie z umysłem przygotowanym do słuchania pięknych myśli, wytwornie wypowiedzianych, ale z imaginacją żądną wrażeń, któreby ogarniały całą jego istotę moralną i fizyczną, zasiada sobie wygodnie i woła na autora i aktora: teraz ty mnie baw, kołysz mnie śmiechem, pustotą, wesołością sytuacji, albo elektryzuj mą duszę niepokojem, oczekiwaniem, wątpliwością, niechaj nie mam chwili spoczynku, przed ścigającemi mnie wrażeniami a złudzenie przejmie mnie nawskroś jak najistotniejsza rzeczywistość. Tak sobie mówi widz zwyczajny, a krytyk żąda jeszcze, aby te wszystkie wypadki, które przedstawia fikcja były obok tego składne, naturalne, logiczne, żeby prawda estetyczna nie była obrażoną.

Owoż w sztuce p. Szymanowskiego są tego rodzaju wrażenia, tylko jest ich zamało jak na trzy akty, i to wrażenia te po większéj części zachowują się na koniec aktów. Jakoż akt pierwszy kończy się nagłem a niespodziewanem wyznaniem Sary, że chce zostać chrześcianką, drugi zejściem Janiny przez Salomona na scenie miłosnéj z Sarą, co jest już podwyższeniem o jeden stopień tragicznéj grozy, jaka poczyna się od pierwszego zjawienia się Sary: trzeci nareszcie zamyka się katastrofą. Są to momenta dramatycznie wzruszające, ale tylko momenta, do których dochodzimy po mnogich dyskusjach, po pewnych parafrazach jednéj i téj saméj sytuacji, po pewnych rozciągłościach, a droga tego przejścia jest dosyć długa i lubo usypana kwiatami słów i uczuć, ale niemniéj jednak odprowadzająca od celu i tamująca rzeczywistą akcję.

Autor brak doświadczenia ówczesnego okazał w tem, że zamiast charakteryzować ludzi jako indywidua, charakteryzuje ideje jakie w nich leżą. Salomon i Eleonara to jakieś indywidualizowanie rabbinizmu i kabały, ciągłe cytaty, odwoływania się do mędrców i obyczajów, obrachowane są raczéj na wykazanie niepospolitéj znajomości podstaw żydowskiego świata, niż potrzebne do utrzymania życia dramatycznego. W téj też sferze, lubo indywidualniejszy nieco jako człowiek, zamknięty jest i Ruben, który w trzecim akcie, na podobieństwo Kaspra w Wolnym Strzelcu, odbywa ze wszystkiemi przyborami doświadczenia kabalistyczne i wywołuje duchy, z dokładnością wręcz z kabały wyjętą. Ma zapewne takie przedstawienie pewne zalety, ale nikt nie powie żeby one pomagały dramatowi: w operach takie rzeczy ratuje muzyka, na którą głównie zwraca się uwaga słuchacza, w dramacie opóźnienia akcji nie okupisz najświetniejszę liryką.

Sam też Salomon rozwodniony dyskussją wygląda więcéj na figurę z mgły niż na postać z kamienia, piękna to ale niewyraźna sylwetka człowieka. I niedziwno też nam że p. Rapacki, mało robił wrażenia przedstawiając tę postać, a jednak w zakresie swego zadania sprawił się należycie, rzadkie momenta energji i czynu, objawy namiętnego życia, oddał jak przystało na inteligentnego artystę. Naprzeciw jednostajnie poważnego Salomona, stoi wrzący namiętnością Ruben; tak, wrzący ale bezwładny, więcéj w nim jest wewnętrznego szamotania niż czynu, nad dramatem i w nim równie jak w Salomonie, góruje liryzm. Pomimo silnéj namiętności, niezdolen on jest ani Janiny oddalić, ani wstrzymać pomsty ojcowskiéj żeby uratować Sarę, żaden ze środków przez niego przedsiębranych nie jest, ściśle mówiąc, dramatycznym. Jego nawet zamierzenie się nożem na Janinę i cofnięcie się na myśl, że tem mógłby sprawić boleść Sarze, jest więcéj fizycznie efektownem, niż psychicznie tragicznem. Cały ten moment mógłby być przezeń dokonanym w myśli, w namyśle, bez melodramatycznego efektu i błysku noża, skutek byłby ten sam, w każdym razie, jest to najpiękniejsza chwila Rubena. Pan Tatarkiewicz z doskonałem pojęciem i doskonałą miarą, wywiązał się z wielu trudności w jakie obfituje ta rola, w któréj dzikość z uczu-

ciem delikatnem i szlachetnem niedość jest kunsztownie zamalgamowana w jedność.

Najszczęśliwiéj, bo najwyraźniéj, udało się autorowi nakreślić postać Sary, śmiele nawet powiedzieć możem, że postać ta w sztuce jest jedyną i ze wszech miar dramatu godną. Ma ona życie samoistne, pewne, jasno zdeterminowane, piękny to i żyjący obraz dziewicy, niby z pierwszych chrześciaństwa wieków. Pokorna, kochająca i czuła, pomimo wielkiéj miłości dla ojca, pomimo przyjaźni dla Rubena, pomimo widoku cierpień jaki postanowienie jéj sprawia im obojgu,— wznosi się ona ponad te doczesne bóle cudze i swoje miłością wyższą, która przeniknęła jéj duszę nawskroś, bezpowrotnie, i téj miłości swéj i tych przekonań swych umie bronić słowem silnem, w wielu razach dochodzącem do wzniosłości, słowem, które nie jest już ani dyskusją, ani deklamacją, ale osobą samą, czynem, entuzjastyczną miłością ukochanéj przez nią idei. Sara, w postaci p. Modrzejewskiéj, w bolesnéj walce z innemi przekonaniami i fanatyzmem drugich osób ukazywała się nam kolejno, to jak baranek ofiarny, to jak lwica broniąca swego płodu,— bez niższych porównań, jak silny miłością i wiarą duch gotowy na wszelkie poświęcenie dla dania świadectwa o świętości swych zasad. W tę postać wlał autor całą miłość swego ideału, i z bijącem tą miłością sercem snadź wypisał każdą głoskę jaką wkładał w jéj usta, to też postać ta zaszczyt mu przynosi jako poecie i dramaturgowi, zasługę aktorce że ją tak wiernie wytłómaczyć umiała.

Dosyć charakterystyczną figurą zaciekłego Efraima, zaczynającego każdą swą argumentację tem co gdzieś powiedziano jest, słabość umysłu zakrywającego zdaniami mędrców, wybornie oddał p. Grzywiński. Był on poczesznie zakłopotanym w obec zarzutów jakie ze wszech stron na niego spadały i budził istniejące już w delikatny sposób w roli saméj jakieś lekkie wrażenie komizmu, jako człowiek, który nie stoi na wysokości podjętéj missji. Nawet p. Stolpe nader bladą rolę Janiny starał się ożywić i uczynić wydatniejszą. Słowem artyści wzięli się do swych zadań z całem szacunkiem na jaki zasługuje ten utwór, niedość zapewne posiadający dramatycznych warunków ale w każdym razie, jako dzieło literackie mający zalety niepospolite.

Piękną doń illustrację stanowi muzyka i śpiewy p. Krzyszkowskiego, która też powszechną uwagę zwróciła na talent młodego kompozytora.

X,

Praktyczny wykład nauki języka polskiego,— obejmujący źródosłów, składnię i pisownię, ułożony przez Józefę Kamocką Nauczycielkę Gimnazjum żeńskiego i wyższych naukowych zakładów w Warszawie. Praca ta bardzo pożądana, poświęcona pamięci Stanisława Jachowicza, według wyrażenia autorki jest katechizmem matki pragnącéj być pierwszą nauczycielką swego dziecięcia, podręcznikiem ułatwiającym mozolną z dziećmi naukę. W wykładzie swym, stanowiącym kurs dla pierwszych trzech klass obowiązujący, i zastosowanym tak do przepisów Władzy naukowéj jak i pojęcia dzieci, mieści się wszystko co nauczanie i zrozumienie zasad języka ułatwia. Po głębszą naukę stanowiącą filozofję języka, autorka nie wdając się w stanowcze roztrzygnięcie różnych kwestji gramatycznych, odsyła do dzieł uczonych badaczy. Nie pomija je jednak, ale objaśniając pozostaje przy zasadach już uznanych, usprawiedliwiając to stosownem rozumowaniem. Ta skromna oględność wielce podnosi wartość całéj pracy, bo robi ją praktyczną, bo nic nie rujnując uczy jednak jak dobrze pisać i mówić według przepisów właściwie dotąd obowiązujących, i nie wprowadza zamieszania bardzo zbliżonego do zupełnego nieuctwa.

W krytycznéj nad gramatyką rozprawie, wszelkie pomysły mające stanowić ulepszenie, są zupełnie na swojem miejscu: w gramatyce jako w wykładzie naukowym dla uczącéj się młodzieży, byłyby rażącym błędem. Poprawa gramatyki może wyjść tylko ze zbiorowego ciała naukowego, a nigdy z pojedynczéj osobistości. Pisać każdy może jak mu się podoba, byle to robił według loicznéj jakiéjś zasady, uczyć jedynie można według prawideł przez naukę przyjętych. Tych się autorka ściśle trzymała, jak zaś pod tym względem była uważająca, najlepiéj świadczy pozostawienie bez stanowczego roztrzygnienia dosyć ważnéj kwestji przypadkowania nazwisk męzkich cudzoziemskich i tworzenia imion przymiotnych z imion męzkich także cudzoziemskich. Sądzimy że bez szkody mogła śmiało powiedzieć, iż nie powinno się mówić zakład pana Fajans lub Pik, ale zakład Fajansa i Pika. Równie jest niewłaściwem mówienie pani Fajans lub pani Pik, ale pani Fajansowa pani Pikowa. Gdyby bowiem nie rzeczownik pan—pani, sama nazwa wymieniona nie objaśniłaby czy o mężu czy o żonie jest mowa.

Cena tego pożytecznego dziełka wynosi kop. 60.

Fundacja Naryszkina wynosząca rubli dwakroć pięćdziesiąt tysięcy rubli, według doniesienia gazet petersburgskich, ma na celu wyłącznie kształcenie nauczycieli ludowych. Zakład będzie nosić imię Katarzyny żony ofiarodawcy i ma być poddany pod zarząd okręgu naukowego Charkowskiego. Dla przekonania się o ile uczniowie w zakładzie do przyszłego zawodu uzdolnili się, założoną zostanie przy nim szkoła elementarna, w któréj sami stypendyści będą nauczycielami. To połączenie teorji z praktyką uważamy za bardzo korzystne. Poda ona możność ocenienia własnych umysłowych zasobów, i wskaże dotykalnie wszelkie braki i szkody jakie te przynoszą.

Na stypendystów przyjmowani będą młodzi ludzie od lat szesnastu życia, z obowiązkiem po ukończeniu kursu, poświęcenia się przynajmniéj przez lat cztery zawodowi nauczyciela elementarnego. Na potrzebę skrzętniejszego kształcenia ludu, szczególną teraz w całéj Europie zwrócono uwagę. We Francji odrzucony przed laty kilku przez izbę reprezentantów projekt przymusowego kształcenia dzieci w szkółkach elementarnych, obecnie przychodzi do skutku. Poznano tam nareszcie, że budowla wszelka tylko tam bywa silną, zdolną oprzeć się najstraszliwszéj burzy, najwściekliwszym huraganom, która się wznosi na fundamencie granitowéj mocy. Oświata ludu takim jest dla każdego państwa fundamentem, czas go nie niszczy ale umacnia, a okoliczności hartują.

Prawdę tę w całych północnych Niemczech i Skandynawji już dawno uznano. Pomyślność ogólna, bogactwo, wysoka moralność, są jéj owocem. Najpierwszemi jednak i pod tym względem, były Stany Zjednoczone Ameryki północnéj. Tam zaraz po założeniu Unji, najprzód pomyślano o szkołach elementarnych, o wprowadzeniu ich wszędzie, do najmniejszéj niemal osady, gdzie tylko choć kilka domów stało przy sobie w skupieniu.

Siły natury są bezwiedne, działanie ich zawsze zdumiewa a często przeraża. Myśl jednak ludzka umie je zawładnąć, umie zrobić swemi sługami i zaprządz do pracy jak najpokorniejszych niewolników. Jest więc od nich silniéjszą i choć nieujęta rządzi niemi i korzy, słusznie zatem że jéj potęgowaniu przez naukę, przed wszystkiem innem oddano pierwszeństwo.

W sprawie téj tyle ważnéj, kobiety w Stanach Ameryki oddały i ciągle oddają wielkie przysługi. W znacznéj części bo niemal w połowie, nauczycielkami są kobiety, a w niektórych nawet Stanach dwie trzecie ogólnéj liczby nauczycieli stanowią. Obowiązkom swym nie zbyt długo poświęcając się, po kilku latach albo zmieniają zajęcie albo przechodzą do wyższych zakładów i dla tego ustępując miejsca nowym kandydatkom, nadają niezmierny ruch ogólnéj oświacie.

Troskliwość w zakładaniu szkółek elementarnych jest tam tak wielką, że jeżeli gdzie w jakim kąciku wykrytą zostanie za mała liczba szkółek w stosunku do ludności, natychmiast na całéj przestrzeni obszernego tego państwa, powstaje wrzawa w perjodycznéj literaturze, każdy łaje, krzyczy, radzi i narzeka, jakby oba otaczające go oceany pragnęły przelać się i połączyć z sobą, jakby płomień już objął wszystkie wsie i miasta i groził ich pożarciem. Jednocześnie też z tą wrzawą dziennikarską, w miejscu wytkniętem, wznoszą się natychmiast budowle prawdziwe olbrzymy, zbiegają się nauczycielki i nauczyciele, sypią się dary, zwożą książki i w pół roku niespełna staje nowy zakład, pomieszczając zaraz ze swym otwarciem, setki dziatek łaknących nauki.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Wyborne sery z mleka słodkiego smakiem przypominające sery szwajcarskie.

Do robienia tych sérów jak i innych ze słodkiego mleka, trzeba mieć w domu podpuszczkę czyli żołądek cielęcy. Na trzy dni przed robieniem serów, podpuszczkę namoczyć w serwatce zwyczajnéj, którą się przed tem mocno jeszcze raz klaruje, przegotowując z solą, któréj trzeba wsypać łyżkę do kwarty serwatki.

Mleka swieżo udojonego trzy garnce, postawić w rondlu na gorącym ruszcie aby się zaletniło, wtedy wlać pół kwarty podpuszczki i zamięszać dobrze, a jak tylko mleko się zetnie, odstawić z rusztu żeby zupełnie oziębnął twaróg. Gdy twaróg będzie już zimny, wyjmować go jak największemi kawałami, na co trzeba dobrze zważać, gdyż wybierając małą łyżką, ser mógłby potem pękać, kłaść na sita i z wolna potrząsać aby serwatka odchodziła. Można też z wolna ręką przyciskać. Gdy dostatecznie ściąknie, układać twaróg do formy drewnianéj w kształcie cegły płótnem wysłanéj, jak się wszystko ułoży przycisnąć denkiem i przyłożyć kamieniami żeby serwatka schodziła. Tak stać winno godzin 24, poczem obrócić ser na drugą stronę i znowu przyłożyć na całą dobę, pózniéj wyjąć, natrzeć mocno ze wszystkich stron solą i zostawić jéj tyle na serze ile się utrzyma, a następnie położyć go na półmisku, z sera dużo jeszcze wycieknie serwatki ale jéj nie zlewać, lecz w dzień ser obmaczać w niéj i obracać na inną stronę. Jak sér zupełnie obeschnie i wciągnie tę serwatkę, obwinąć go w płócienny płatek w serwatce zmoczony lub w piwie, w parę tygodni jak będzie sér wilgotny i miękki odwinąć i obsuszyć w miejscu przewiewnem przez dzień lub dwa dni, następnie znów obwinąć jak wyżéj. Cały sekret dobroci tego séra zależy na tem, żeby nie dopuścić nigdy zupełnego wyschnięcia. Przez cały miesiąc Czerwiec nie robi się serów, gdyż będą nietrwałe. Jeszcze jedna rada, gdyby ser przepękał na wpół, wtedy użytym być może na wyborne gomółki.

Korespondencja.

Pani Mar. Wieli. Od ufarbowania sukni należy się rs 4. Pani Gabrjeli Ra: Najtańszy kok z warkoczy plecionych kosztuje rs. 8. z równiejszych i piękniejszych włosów dochodzi od 10 rs do 15 rs.

Panie Wandzie Po. za upranie kapelusza ryżowego, ufasonowanie i dodanie słomki, żądają rs. 1. Kapelusz okrągły ze słomy brukselskiéj ubrany kwiatem i woalką tiulową w dobrym gatunku, z opakowaniem i opłatą pocztową kosztuje rs. 9. Na koszt odbierającego nie wolno posyłać sprawunków.

Pani Kazimirze Wol. Całoroczny egzemplarz Przyjaciela Dzieci w ładnéj oprawie kosztuje rs. 5. Książki do nabożeństwa kazaliśmy oprawić i wkrótce wysłane zostaną.

Pani Zuzannie Nie. Jaki ma być kolor okrycia kortowego? Formę pelerynki przesłaliśmy.

Na bieżący tydzień przygotowano formę kostiumu z tuniką i kaftanikiem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami oraz arkusz z krojami.

Druk Karola Kowalewskiego. Дозволено Цензурою. Redaktor J. K. Gregorowicz.

TREŚĆ.

N. 1. Spacerowe ubranie dla małéj dziewczynki.— N. 2. Domowe ubranie z plisowanemi falbankami.— N. 3. Sukienka ubrana pliskami i falbankami dla małéj dziewczynki. — N. 4. Ubranie z powłóczystą tuniką.— N. 5. Szydełkowe przepięcie do firanek.— N. 6. Kaftanik „Cora“ z boku. — N. 7. Paltocik do figury z przypinaną baskiną. — N. 8. Dywanik ze skóry pod maszynę do szycia.— N. 9. Róg wyszytego szlaku na dywaniku N. 8. — N. 10 i 11. Pasmanterje ze sznurka. — N. 12. Kokarda z dwojakiego materjału.— N. 13. Tunika do kostiumu „Kamelja.— N. 14. Paletot dla chłopczyka od 4— 7 lat.— N. 15. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki od 6 do 8 lat. — N. 16. Szyfonierka do biletów wizytowych.—N. 17. Kostium „La Reine,“—N. 18. Ubranie do konnéj jazdy.— N. 19. Kapotka pikowa dla dziewczynki. — N. 20. Czapeczka pikowa dla chłopczyka.— N. 21. Koronkowy kapelusz z aksamitnym diademem.— N. 22. Słomkowy kapelusz z koronkowemi barbami.—N. 23 Krepowy kapelusz z kwiatami.—N. 24. Tyrolski kapelusz z tiulu i wstążki rypsowéj.—N. 25. Uczesanie głowy w warkocze.

N. 1—4. Codzienne i spacerowe ubrania.

N. 1. Spacerowe ubranie dla małéj dziewczynki.

Sukienka z fałdowaną spódnicą i gładkiem staniczkiem pod szyję z jednokolorowego różowego kaszmiru; biała jedwabna pliska ubiera dół spódniczki stanik i długie rękawki. Na pliskach idą guziczki, pokryte różową alpagą. Toczek z białemi piórami i wstążką. Pończochy w pasy, wysokie kozłowe buciki, uzupełniają ubranie.

N. 2. Codzienna suknia z plisowanym i aksamitnym garnirunkiem.

Suknia z szarego fularu w czarny drobny rzucik, ubrana jest plisowanemi falbankami z gładkiego fularu w cieniu sukni i dużemi trójkątami czarnego aksamitu, stanowiącemi nagłówek falbanki. Guziki, pasek i kokardka we włosach aksamitne.

N. 3. Suknia z pliskami i kontrafałdami dla małych dziewczynek.

Model z popielatego wyrobu (batiste de laine); naszyty jest na spódnicy, długich rękawach i staniku w rodzaju szelek, garnirunkiem złożonym z 3 do 4 cent. szerokich falbanek i plisek z wypustką. Na wyjście uzupełnia się ubranie krótkim luźnym kaftanikiem.

N. 4. Ubranie z powłóczystą tuniką.

Suknia taka z podpiętą tuniką służy także do wyjścia na ulicę, ze spuszczonym trenem stanowi ładne ubranie do pokoju. Naroczek fałdowany, suknia i tunika, garnirowane są ukośnemi falbankami i kokardkami z materjału sukni. Słomiany kapelusz z woalem gazowym i gałązką róży dopełnia całości.

N. 5 Szydełkowe przepięcie do firanek.

Materjał: Pąsowa angielska włóczka, czarna filozela i cienki szpagat.

Przepięcie przedstawione w całéj szerokości, które kolorem odpowiadać musi firankom perkalowym, zacząć najwpierw trzeba od rozety środkowéj. Na 9 oczkach powietrznych, w pierścionek złączonych robi się z podwójnie wziętéj włóczki, podkładając szpagat, rządek ścisłych oczek, i rządek przezroczystych słupków z koniecznem przybieraniem, póty, póki rozetka niedojdzie 7 cent. średnicy. Na listeczki kwiatka powstałe z 7 cent. długich pętelek, i na 4 cent. długie sznureczki utrzymujące kwasty, robi się najwpierw pięć końcy na kwasty dwa po 40 centymetrów długie i trzeci 20 cent. długie sznureczki, powstałe z przemienionych ciągle 1 p. ocz, z jedwabiu, i 1 powietrznego ocz. z podwójnéj włóczki. Na każdym koniuszczku wisi 8 cent. długi włóczkowy kwaścik czarnym jedwabiem przewiązany. Nagłówek każdego kwastu, składa się z sześciu, osobno odrabianych gęstych, przypadających do siebie listeczków; na każdy z nich nakłada się 9 pow. oczek z powrotem robiąc, idzie najwpierw 1 ścisłe oczko, potem 1 pół-słupek, 3 zwyczajne słupki i 3 wysokie słupki. Po obu brzegach przetykane czarnym jedwabiem listeczki, wywracają się na lewą stronę ostrym końcem do kwaścika, a drugim do okrągłéj główki na sznurku umieszczonéj. Kwaściki i listeczki rozety podług porządku zachowanego na rycinie, układają się na sztywnéj podstawie, dając w samym środku, strzyżoną bombelkę. Sznury do przewiązywania wynoszą 100 cent. długości; na zwyczajnym łańcuszku, idzie rządek ścisłych oczek na szpagacie z podwójnie branéj włóczki, ale tylko do połowy sznura, druga połowa ma 1 oczko z włóczki drugie z jedwabiu. Sznur ten zamocowywa się nakoniec pod rozetą, i spaja pojedynczemi ściegami w dwóch wskazanych na rycinie miejscach.

N. 6. Kaftanik do kostiumu „Cora.“

Do tego rycina 17 w Tyg. Mód N. 18.

Kaftanik ten przykrojony podług formy N. XI fig. 41 do 43 znajdującéj się na dodatku, czarny jedwabny, koronkami ubrany, rozcinany jest brzegiem, w wązkie klapki. Brzeg klapek cokolwiek zaokrąglonych wązko czarnym lub kolorowym atłasem lamowany, odwraca się i zamocowywa raz na dół, drugi raz do góry. Ograniczając się na tym opisie, odsyłamy po więcéj szczegółów do zeszłego numeru, gdzie całość zamieściliśmy.

N. 1—4. Domowe i spacerowe ubranie.

N. 1. Spacerowe ubranie dla małéj dziewczynki. N. 2. Domowe ubranie z plisowanemi falbankami. N. 3. Sukienka ubrana pliskami i falbankami dla małéj dziewczynki. N. 4. Ubranie z powłóczystą tuniką.

N. 7. Kaftanik do figury z przypinaną baskiną.

Opis w N. 18 Tyg. Mód do ryc. 16. Krój na dodatku N. XII fig. 44 — 47.

N. 8 — 9. Dywanik skórzany pod maszynę do szycia.

Materjał: Jasno-popielata amerykańska skóra, pąsowe sukno i kolorowe sukienne resztki; włóczka w kolorze sarniéj sierści do cieniu. Jasno-popielata skóra 88 cent. długa a 75 cent. szeroka, stanowi tło praktycznego tego dywanika, który można w rozmaitéj wielkości przyrządzić. Szlak wężykowato dany w koło, przedstawiony w narożniku pod ryc. 9, wyszywa się luźnym ściegiem włóczką w kolorze sarniéj sierści do cieniu; gwiazdki aplikowane z sukna, pąsowe, szafirowe, żółte i czarne, przytwierdzają się kolorowym jedwabiem. Z pod skórzanego dywanika, wystaje także w ząbki wycinany szlaczek z pąsowego sukna, 5 cent. szeroki. Czarna podszewka nakleja się pod skórą rozpuszczoną gummą.

N. 10—11. Pasmanterja ze sznura.

Ryciny podają dwie próbki pasmanterji, wspomniane przy opisie ryciny 29 w 18 N. Tygod. Mód.

N. 12. Kokardka z dwojakiego materjału do ryciny 17 kostiumu „la Reine.“

N. 13. Tunika do kostiumu „Kamelja.“

Opis w N. 18 Tygodnika Mód pod N. 35.—Krój na dodatku N. III Fig. 9—10.

N. 14. Paletot dla chłopczyka.

Opis w Tyg. Mód. N. 18. Rycina 30.—Krój na dodatku N. XIII. Fig. 48—51.

N. 15. Płaszczyk dla dziewczynki od 6—8 lat.

Opis w N. 18 Tyg. Mód. Ryc. 15. Krój na dodatku N. VII. Fig. 22—25.

Rycina przedstawia tył płaszczyka z brązowego sukienka, ubrany atłasowemi jasno-brązowemi pliskami i wyszyty arabeskami z kordonku.

N. 16. Szyfonierka na bilety wizytowe.

Krój i opis na dodatku N. XIV fig. 52 — 54.

N. 17. Kostium „la Reine“.

Do tego rycina 46 w N. 18 Tyg. Mód i 12-a w 19 N. Tyg. Mód. Krój kaftanika rycina 33 w N. 18 Tyg. Mód.

Oszycie sukni koloru niewarowego składa się z podwójnych jasnych i ciemnych plisek ażeby z pod jasnéj wystawała ciemna, z pod ciemnéj jasna wypustka bez sznurka. Ryc. 46 w 18 numerze Tyg. Mód, podaje garnirunek ten zakończony po obu stronach plisowanemi ciemnemi riuszami. Pliski trzymają 5 cent., falbanki po 3 cent. szerokości; plisowana falbana u spódnicy, powinna bydź 56 cent. szeroka i na 3 i pół cent. duże fałdy zakładana. Rycina dokładnie objaśnia ułożenie garnirunku, który przy rozporku tuniki w tyle zakończony kokardą (rycina 12).

W tyle i na bokach podpinana tunika 220 cent. u dołu szeroka, 51 cent. z przodu a 82 cent. w tyle długa, składa się z zaokrąglonego u dołu przedniego bryta, 54

cent. u dołu a 22 cent. w górze szerokości liczącego, z dwóch wązkich brytów bocznych i dwóch prostych do tyłu gęsto namarszczonych. W ostatnich, licząc na 36 cent. od dołu, ściąć trzeba trochę materjał, dla sformowania rozporka, po nad którym w trzy fałdy podjęta tunika zdobi się kokardą. Krótki kaftanik, garnirunkiem w dwóch cieniach i frendzlą naszyty, ma zupełnie prosty rękaw, do łokcia tylko zeszyty od łokcia puszczony wolno uzupełniony rękawem wązkim od kostiumu.

N. 18. Ubranie do konnéj jazdy.

N. 6. Kaftanik „Cora“ z boku. Rycina 17 w Tyg. Mód N. 18.

Stanik do téj sukni ma z przodu krótki karoczek, z tyłu, rodzaj fraczka. Wywinięte wykłady, bardzo są eleganckie bo pokryte atłasem lub materją w jaśniejszym kolorze jak cała suknia, albo też zupełnie białą. Suche rękawy zapinają się po łokieć na guziczki. Zamiast sukna można tu użyć „trykotowego“ materjału, który się nie tak mszy i mniéj kurzu przyjmuje. Ubranie takie niekiedy bywa aksamitne czarne lub z wełnianego rypsu, ciemno-szafirowe, ciemno-zielone, albo brązowe. Tyle używany tyrolski kapelusz pojawia się również do konnéj jazdy, jak i cylindry średniéj wysokości. Koronkowa krawatka z żabotem i rękawiczki długie uzupełniają ubranie.

N. 19—20. Dwa pikowe kapelusze dla dzieci.

Formy kaszmirowych i pikowych kapeluszy tylokrotnie podawanych zawsze zostają te same. Przy maszynach, łatwiéj jeszcze wystembnować taki modelik, podkładając sznurek.

N. 19. Kapotka pikowa dla dziewczynki.

Deseń na dodatku Fig. 26—27.

Denko kapelusika wyszyte jast w ślimak podług Fig. 26 z dodanym sznureczkiem i ubrany szlareczką z wydzierganemi ząbkami. Proste drucikiem naciągnięte rondko stosownie wygięte, przyczepia się do denka co wązki pasek pokrywa. Spód podgarnirowany jest koronką, riuszą i kokardkami. Trzy medaljony wystembnowane podług Fig. 27 zdobią karczek w ząb wycięty.

N. 20. Pikowa czapeczka dla chłopczyka.

Denko białego pikowego toczka, zdobi podłużna podług deseniu Fig. 28 z żółtéj piki wycięta gwiazda; denko to zfałdowane i paskiem objęte, naszywa się prócz tego stembnówką sznurkiem podłożoną i koronką; żółto wypustkowana pliska, kokardkami przepinana, otacza w koło rondko przytwierdzając żółto wypustkowane pukielki. Z pod spodu, wystaje wązka tiulowa riuszka.

N. 21—24. Modne wiosenne kapelusze.

Fason kapeluszy obecnych zawsze jeszcze pozostaje z wysokim djademem nad czołem. Do ubrania kapeluszy czy to z crêpe de Chine, tiulu lub słomki, używają wielką ilość kwiatów, piór i koronki.

N. 5. Szydełkowe przepięcie do firanek.

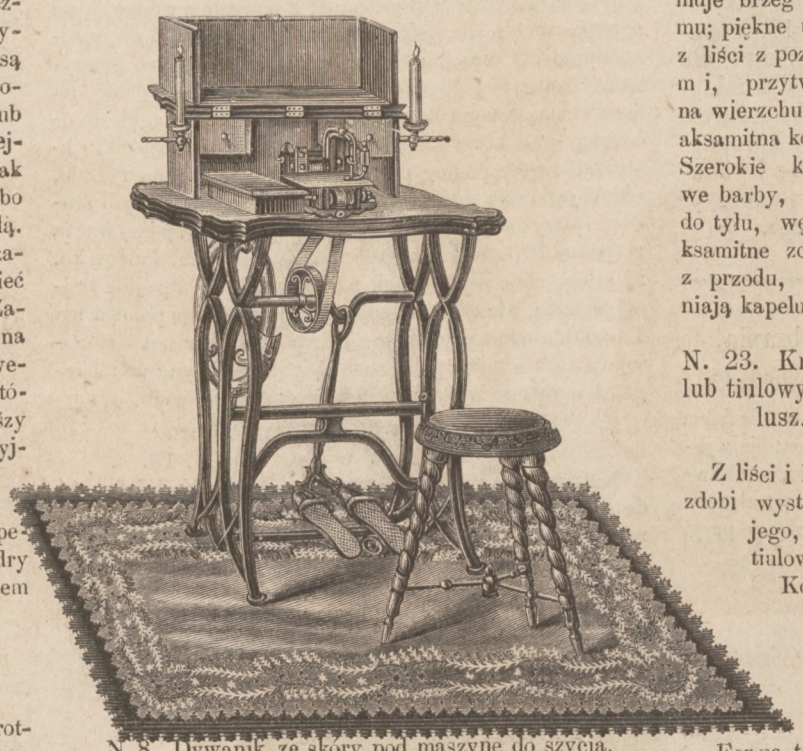

N. 8. Dywanik ze skóry pod maszynę do szycia.

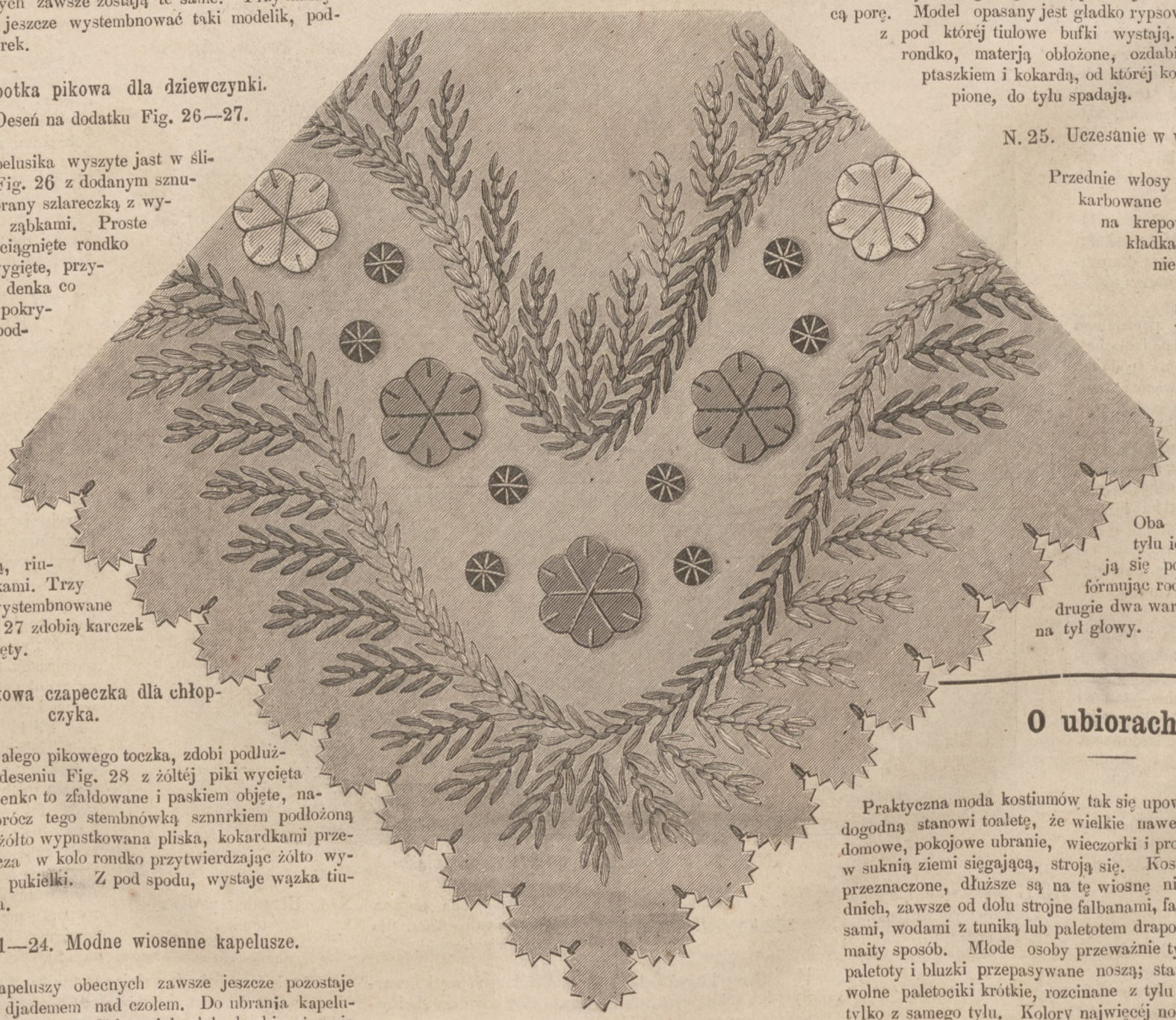

N. 9. Róg wyszytego szlaku na dywaniku N. 8.

N. 21. Koronkowy kapelusz z aksamitnym diademem.

Wązka podstawa fanszonika, opatrzona z przodu, stojącym aksamitnym diademem, od którego po dwóch stronach idzie czarna koronka, pokrywa się czarnym tiulem. Rząd rozmaitych róż bez liści, wystaje z po za diademu; po za niemi idą aksamitne kokardki, z boku zaś spadają koronkowe barby, aksamitną kokardą złączone.

N. 22. Słomkowy kapelusz z koronkowemi barbami i liśćmi.

Wązka aksamitna lamówka, obejmuje brzeg diademu; piękne ubranie z liści z poziomkami, przytwierdza na wierzchu, duża aksamitna kokarda. Szerokie koronkowe barby, spadają do tyłu, węższe aksamitne zczepione z przodu, uzupełniają kapelusz.

N. 7. Paltocik do figury z przypinaną baskiną. Ryc: 16 w Ty. Mód N. 18.

N. 23. Krepowy lub tiulowy kapelusz.

Z liści i kwiatów uwinięta girlanda w rodzaju diademu, zdobi wystający i podniesiony brzeg kapelusza: środek jego, pokrywa wielka kokarda, ułożona z długiego tiulowego lub krepowego woala w kolorze kwiatów. Kokardki małe, przytwierdzają woal na brzegach kapelusza, końce jego, wiążą się pod kokiem.

N. 24. Tyrolski kapelusz.

Forma tyrolskiego kapelusza, pozostaje i na nadchodzącą porę. Model opasany jest gładko rypsową wstążką, z pod któréj tiulowe bufki wystają. Wiwinięte rondko, materją obłożone, ozdabiają pióra z ptaszkiem i kokardą, od któréj końce wystrzępione, do tyłu spadają.

N. 25. Uczesanie w warkocze.

Przednie włosy układają się karbowane lub gładkie, na krepowanych podkładkach, po za niemi zaczynają się trzy promieniowe warkocze.

Oba warkocze od tyłu idące, krzyżują się po nad czołem formując rodzaj djademu, drugie dwa warkocze spadają na tył głowy.

O ubiorach.

Praktyczna moda kostiumów tak się upowszechniła, tak dogodną stanowi toaletę, że wielkie nawet elegantki na domowe, pokojowe ubranie, wieczorki i proszone obiady, w suknią ziemi sięgającą, stroją się. Kostiumy na ulicę przeznaczone, dłuższe są na tę wiosnę niż lat poprzednich, zawsze od dołu strojne falbanami, falbankami, plisami, wodami z tuniką lub paletotem drapowanym w rozmaity sposób. Młode osoby przeważnie tylko do figury paletoty i bluzki przepasywane noszą; starsze zaś panie wolne paletociki krótkie, rozcinane z tyłu i z boków lub tylko z samego tyłu. Kolory najwięcéj noszone są: „co-

raille, rubis, caroubier, mastique, écrue, rozmarynowy, jak rówież materjały w kratę i krateczkę czarną z białem. Bareże, Grenadiny, Linos'y, wyroby zwane: sultane Fil de chèvre, Gros de Syrie, Toile de laine zupełnie są gładkie.

Największą nowością na obecną porę są muślinowe falbany, któremi garnirują nietylko suknie jedwabne ale nawet wełniane, jak również suknie w dwóch cieniach to jest ciemniejszemi plisami ubierane.

W magazynie pana Kwiatkowskiego właśnie oglądaliśmy eleganckie kostiumy, w dwóch cieniach prześlicznie odrobione z prawdziwem pojęciem dobrego gustu.

N. 10. Pasmanterja ze sznurka do ryciny 29 w Tygodn. Mód. N. 18.

Jeden z tych kostiumów był jasnego cieniu z lenos'u lapis. Pół łokciową układaną falbankę przytwierdzono plisą na trzy palce szeroką z dużo ciemniejszego koloru, plisy podobne w liczbie czterech powtarzały się na całéj spódnicy któréj znacznie większą część zajmowały, na nią szła okrągława tunika z przodu plisą ubrana która dwa długie spiczaste zęby tworzyła z tyłu, paletocik przepięty paskiem miał także na bokach dwa śpiczaste zęby, odpowiednio zębom tuniki. Piękna ta a skromna toaleta bardzo efektownie wyglądała.

Drugi kostium w dwóch cieniach był koloru kawowego, (café au lait.) Dwie szerokie na ćwierć łokcia falbany, zamiast nagłówka miały na palec szeroką pliskę ciemniejszą; oryginalna tunika odpowiednio przybrana falbankami i pliskami z prawdziwym wdziękiem upięta była z tyłu, na nią opadały strojne falbankami i pliskami klapki wolnego paletocika.

Modny i mało jeszcze u nas pod tą nazwą znany kolor „mastique" licznemi i pięknemi wyrobami był przedstawiony. Jednym z wytworniejszych nam się wydał kostium tej barwy z fil de chèvre. Otwarta na przodzie tunika ukazywała spódnicę starannie pod górę wygarnirowaną falbanami i wodami z których dolna do koła ją okrążała, tunikę oprócz ubrania wodą, okalała jeszcze piękna jedwabna frendzla i podpinały na bokach zręczne pojedyncze kokardy z brązowego aksamitu. Gładki stanik z baskiną i sutemi kokardami z tyłu plisa aksamitna i frendzla ubierała w kwadrat, jaki również szerokie rękawy które nadto falbaną oszyto.

Z toile de Siam kostium skromniejszego pozoru na ranne wycieczki bardzo stosowny śliczne ubranie stanowić może. Biały z czarnym w dosyć dużą kratę, miał od dołu skośną falbanę przytwierdzoną nad nagłówkiem szeroką aksamitką czarną, tunika oszyta od dołu takąż aksamitką bardzo pięknie i fantazyjnie była upięta. Do tego kostiumu przeznaczony był luźny paletocik rozcięty z tyłu, z kołnierzykiem i klapkami na przodzie.

N. 11. Pasmanterja ze sznurka do ryciny 29 w Tyg. Mód N. 18.

Także bardzo oryginalnego a dogodnego fasonu zwłaszcza dla poważniejszych osób był kostium z taffetat beige jasno popielatego. Na spódnicę naszytą szeroką plisą w drobniutką czarną z białem krateczkę, szedł rodzaj szlafroczka, trochę wciętego na bokach w tyle przyciągniętego i paskiem przepasanego. Szlafroczek ten znacznie dłuższy z tyłu jak z przodu, oprócz plisy w krateczkę miał frendzlę wełnianą kręconą, i opatrzony był na bokach i tyłu guziczkami i pętelkami które dowolnie w zręczne festony układać go mogły w tunikę. Do kostiumu tego, dla osób nielubiących figury swojéj pokazywać, dodano jeszcze krótki luźny paletocik mocno podcięty na bokach z szerokiem i rękawami odpowiednio plisą i frendzlą przybrany.

N. 13. Tunika do kostiumu „Kamelja." Do ryciny 35 w T. M. N. 18.

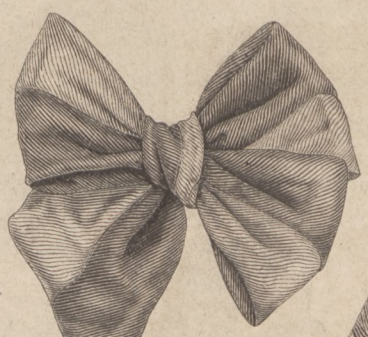

N, 12. Kokarda z dwojakiego materjału do ryciny 17.

N. 14. Paletot dla chłopczyka od 4—7 lat. Do ryciny 30 w T. Mód. N. 18.

N. 15. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Do ry. 15 w Tyg. Mód N. 18.

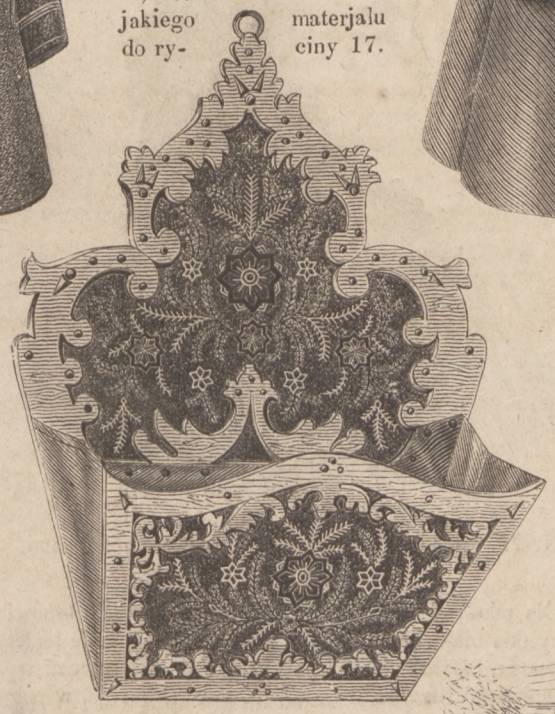

N. 16. Szyfonierka do biletów wizytowych. Opis i krój na dodatku N. XIV Fig. 52 do 54.

N. 17. Kostium „La Reine". Zobacz także Nr. 46 w Tyg. Mód N. 18.

N. 18. Ubranie do konnéj jazdy.

Mówiliśmy w początku sprawozdania, o przyborze z muślinu do sukien welnianych używanym w tym roku. W magazynie pana Kwiatkowskiego przygotowano i takie kostiumy także. Ślicznie one i bardzo wdzięcznie bo świeżo i niezwyczajnie wyglądają, czy zaś ta moda u nas się utrzyma i w Paryżu długo zagości o tem coś późniéj powiedzieć będziemy mogli, bo wedle nas choć ładną i zupełną nowość stanowi. praktycznością zbyteczną nie zaleca się bynajmniéj.

Zastosowanie przyboru tego bardzo się powiodło na sukni z lenos'u w kolorze mastique. Gładka spódnica naszyta była pięcioma falbankami z białego muślinu z wązką walansienką na obu brzegach, zaprasowywana falbanka w drobne karbiki, środkiem rulonikiem koloru sukni przepięta pięć razy spódnicę okalała. Cztery śpiczaste zęby muślinem garnirowane tworzące tunikę pięknie dopełniały całości. Staniczek gładki podłużnie wycięty świeżą i leciuchną szmizetkę ukazywał z mgły falbanek w ykrój strojących. Cztery końce lenosowe falbankami ubrane miejsce kokard zastępują w tyle; z pod paletotowego rękawa wyłożeniem opatrzonego, takież same falbanki podszyte, obcisłe m a n kiety zbytecznemi czyniły. Nic piękniejszego nad ten strój z muślinu lekkiego p o w i ewnego na cięższym jasnym, materjale wykonany. Kostiumy począwszy od 10 rs. do znacznie wyższych cen dochodzą. Okrycia noszą zawsze z kaszmiru czarnego, różnemi fasonami, i różnemi ozdobami strojne, jedne paletotową formą z szerokiemi rękawami, inne przepasane paskiem z tyłu i przodu, których boki jakby rękawy formują, inne znów jeszcze zachowały formę rotondy i z tyłu tylko paskiem przyciągnięte, sutą kokardą zakończone na plecach wolno na przód spadają. Woda, szerokie rusze, frendzle angorowe, jedwabne, kwaścikowe i kręcone, koronka, dżet, modny zawsze przybór stanowią. Z jedwabnych paletocików najwięcéj uwagę naszą zwrócił piękny fason *Mousquetaire*, bardzo mundury te przypominający. Paletocik zupełnie wcięty i przepasany, z tyłu znacznie dłuższą miał spódnicę, przody krótsze jakby dwie kamizeleczki, jednę dłuższą od drugiéj formowały, wszystko to bogato było przybrane aksamitem czarnym. Szerokie wyłogi aksamitne zdobne były wytwornemi szmuklerskiemi guzikami i wyszytemi pętelkami. Takiemi samemi wyłogami opatrzone były tylne szarfy.

N. 21. Koronkowy kapelusz z aksamitnym diademem.

N. 19. Kapotka pikowa dla dziewczynki. Deseń na dodatku N. 26 — 27.

N. 22. Slomkowy kapelusz z koronkowemi barbami.

Dla młodych osób piękne i świeże ubranie stanowią wszystkie białe bluzki, zwłaszcza jako dopełnienie toalety do teatru. Bardzo je ozdobnie garnirują kolorowemi wystrzępionemi ruszami z materji jaskrawéj barwy, w połączeniu z wodami muślinowemi i walansienką. Przód zwykle bywa „en châle" wygarnirowany wodą muślinową i podłożony gładko kolorową materją zdobny kokardami i białą koronką.

Na głowę oryginalne i wytworne pokazywano nam ubranka i kapelusze, wszystkie w ogóle przystrojone massą kokard, kwiatów, rusz, frendzli i koronek. Niebieska koafiura miała opaskę nad kok ze wstążki z któréj kokardy wystrzępione w odmienny zupełnie sposób od dotąd praktykowanego, tworzyły podstawę wysokiéj gałązce stokrotek białych, w guście węgierskiéj kitki postawionéj do góry; długi niebieski koniec zakończał ubranko.

Drugie różowe gniazdeczko, złożone było z samych pojedynczych pukli, które z gałązką bzu białego i pączkami różowéj róży fantazyjnie połączono razem. Całe to ubranko niewiele co szerokość dłoni przechodziło.

Crêpe de chine bardzo na kapelusze używają w tym roku, chociaż to trochę ciężki materjał, jeżeli go jeszcze frendzla nieodzowne prawie przybranie dopełnia. Wszakże najmodniejsze są dziś takie kapelusze w Paryżu, chociaż drogi materjał c e n ę przedstawia nieprzystępną.

Kolor Mastique i tu z n o w u często spotkać nam przyszło, a śliczna to barwa dla każdéj brunetki, lub bladéj szatynki. Jednakże przeważnie i w tym roku młode osoby nosić będą okrągłe kapelusze, które w ogóle formę tyrolskich przypominają, jedne z nich są z główką przedzieloną, inne z bardzo wązką, w górze rondka odwinięte lub spadające. Wiązane, odmienny o wiele fason przyjęły, znacznie większe od zeszłorocznych, p ł a s k o przystające do głowy nad czołem, d a l é j dopiero podnoszą się wysoko, lecz bez przesady. Dzisiejszy k a p e l usz widocznie z dwóch części się składa: z maleńkiéj główki i retrusowego rondka.

N. 20. Czapeczka pikowa dla chłopczyka. Deseń na dodatku N. 28.

Crêpe de chine kapelusz koloru mastique ułożony z pojedynczéj draperji, miał z tyłu jakby spadający na kawałek koka fanszonik, przedłużający się w szarfy sformowane z crêpe de chine z wrobioną brzegiem frendzlą. Piękne pióro przypięte z boku i śliczna czarna róża ubranie jego składały.

Drugi ze zwykłéj krepy tegoż co poprzedni koloru, lżejszy materjałem i strojem, złożonym z bukietu kłosów i owsa, fantazyjnie wśród rusz i bufek krepowych przypiętego, udatnym był wybrykiem panującéj mogy.

N. 23. Krepowy kapelusz z kwiatami.

N. 25. Uczesanie głowy w warkocze.

N. 24. Tyrolski kaapelusz z tiulu i wstążki rypsowéj.

Przytym arkusz z krojami do N. 18 i 19 Tygodnika Mód.

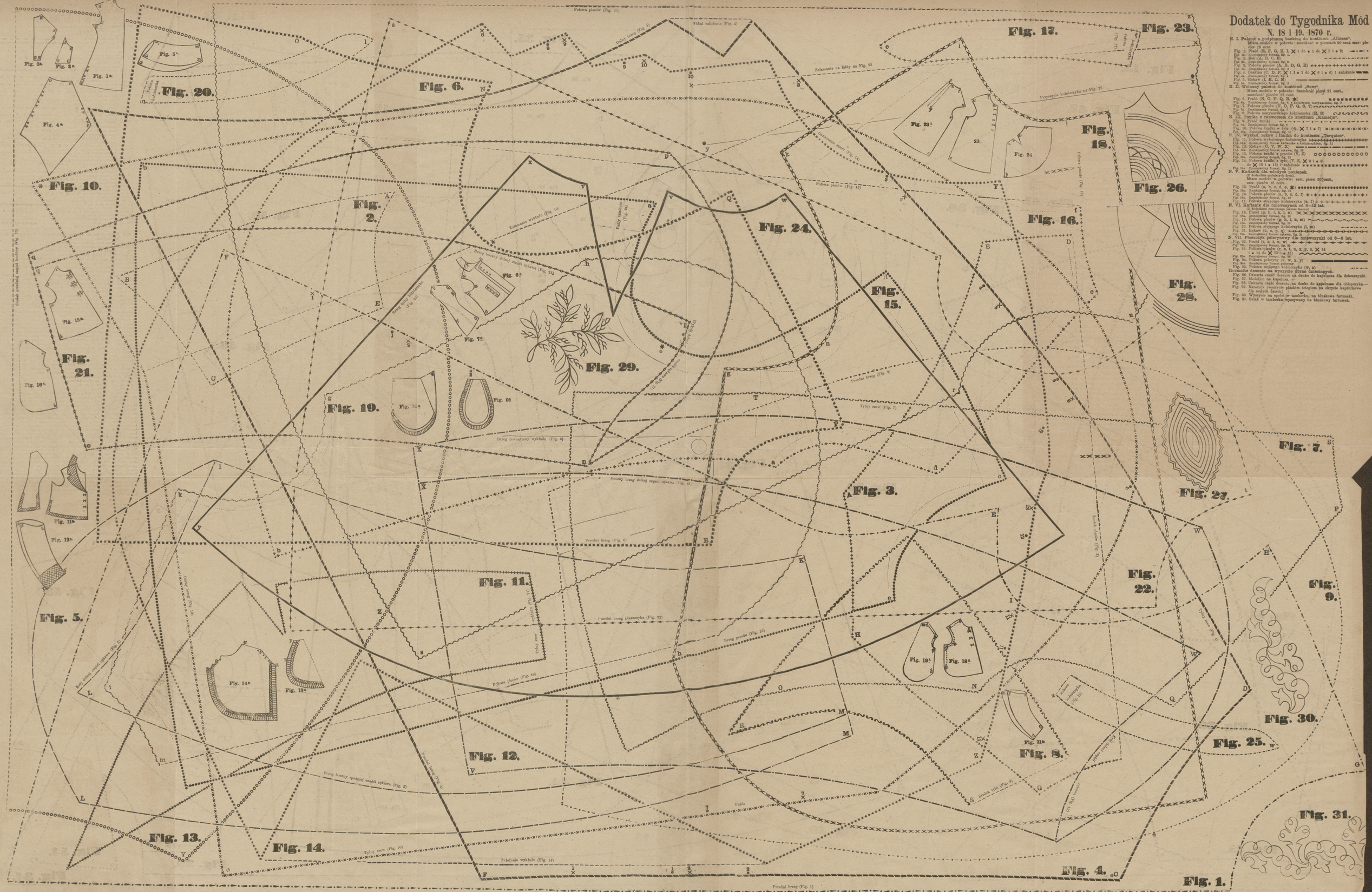

Dodatek do Tygodnika Mód

N. 18 | 19. 1870 r.

N. I. Paletot z podpinaną bankiną do kostiumu „Altesse".
Miara modelu w połowie: szerokość w piersiach 20 cent. szer. pleców 18 cent.
Fig. 1. Przód (R, F, G, H, I, X i do ● i do X i ● 2)
Fig. 1a. Zmniejszony format, fig. 1.
Fig. 2. Bok (A, B, C, D)
Fig. 2a. Zmniejszony format, fig. 2.
Fig. 3. Połowa pleców (A, B, D, G, H)
Fig. 3a. Zmniejszony format, fig. 3.
Fig. 4. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 4a. Zmniejszony format, fig. 4.
Fig. 5. Połowa pleców (F, G, H, I, X 1 i ● 1 do X 6 i ● 6) i zakładnia
Fig. 5a. Zmniejszony format, fig. 5.

N. II. Wiosenny paletot do kostiumu „Suez".
Miara modelu w połowie: Szerokość piersi 21 cent, szerokość pleców 17 cent.
Fig. 6. Przód (N, O, P, Q, R, ✱)
Fig. 6a. Zmniejszony format, fig. 6, z kołnierzem marynarskim, fig. 7
Fig. 7. Połowa pleców (N, O, P, Q, S, T)
Fig. 7a. Zmniejszony format, fig. 7.
Fig. 8. Połowa marynarskiego kołnierzyka (R, S)
Fig. 8a. Zmniejszony format, fig. 8.

N. III. Tunika z rozwerem do kostiumu „Kamelia".
Fig. 9. Przód tuniki
Fig. 9a. Zmniejszony format, fig. 9.
Fig. 10. Połowa tuniki w tyle (✱, X 7 i ● 7)
Fig. 10a. Zmniejszony format, fig. 10.

N. IV. Wykład, rękaw i tunika do kostiumu „Turquine".
Fig. 11. Połowa wykładu kołnierzyka
Fig. 11a. Zmniejszony format kołnierza z kołnierzykiem, fig. 11
Fig. 12. Rękaw (U, Y, W, Z)
Fig. 12a. Zmniejszony format rękawa, fig. 12.
Fig. 13. Połowa tuniki w przodzie (Y, Z)
Fig. 13a. Zmniejszony format, fig. 13.
Fig. 14. Połowa tuniki w tyle (Y, Z, X 8 i ● X 13 i ● 13) i zakładnia
Fig. 14a. Zmniejszony format, fig. 14.

N. V. Kaftanik dla młodych panienek.
(Z dodatkiem mniejszych form).
Miara modelu w połowie: szer. piersi 20 cent, szer. pleców 18 cent.
Fig. 15. Przód (a, b, n, A, c, ✱)
Fig. 15a. Zmniejszony format, fig. 15
Fig. 16. Połowa pleców (a, b, c, d, f)
Fig. 16a. Zmniejszony format, fig. 16
Fig. 17. Połowa stojącego kołnierzyka (e, f)
Fig. 17a. Zmniejszony format kołnierza, fig. 17
Fig. 18. Przód (g, h, i, k, l, n)
Fig. 18a. Zmniejszony format, fig. 18
Fig. 19. Połowa pleców (g, h, i, k, m)
Fig. 19a. Zmniejszony format, fig. 19
Fig. 20. Połowa stojącego kołnierzyka (l, m)
Fig. 21. Rękaw (n, o, p, q)
Fig. 21a. Zmniejszony format rękawa, fig. 21

N. VII. Płaszczyk pelerynowy dla dziewczynki od 6—8 lat.
Fig. 22. Przód (r, s, t, u, w)
Fig. 22a. Zmniejszony format, fig. 22
Fig. 23. Połowa pleców (r, s, t, u, x, y, z X 14 i ● 14 i ● X 19 i ● 19)
Fig. 23a. Zmniejszony format, fig. 23
Fig. 24. Połowa peleryny (v, w, x, y)
Fig. 24a. Zmniejszony format peleryny
Fig. 25. Połowa stojącego kołnierzyka (w, z)
Rozmaite desenie na wyszycie ubrań dziecinnych.
Fig. 26. Otwarta część desenin na denko do kąpielusza dla dziewczynki
Fig. 27. Medaljon na kapelusz.
Fig. 28. Zwarta część desenin na denko do kąpielusza dla chłopczyka.
Fig. 29. Narożnik (wyszycie płaskim ściegiem na okrycie kaftanikowe dla małych dziatek.)
Fig. 30. Wyszycie na epolet w tamborku, na bluzkowe fartuszki.
Fig. 31. Szlak w tamborku wyszywany na bluzkowy fartuszek.

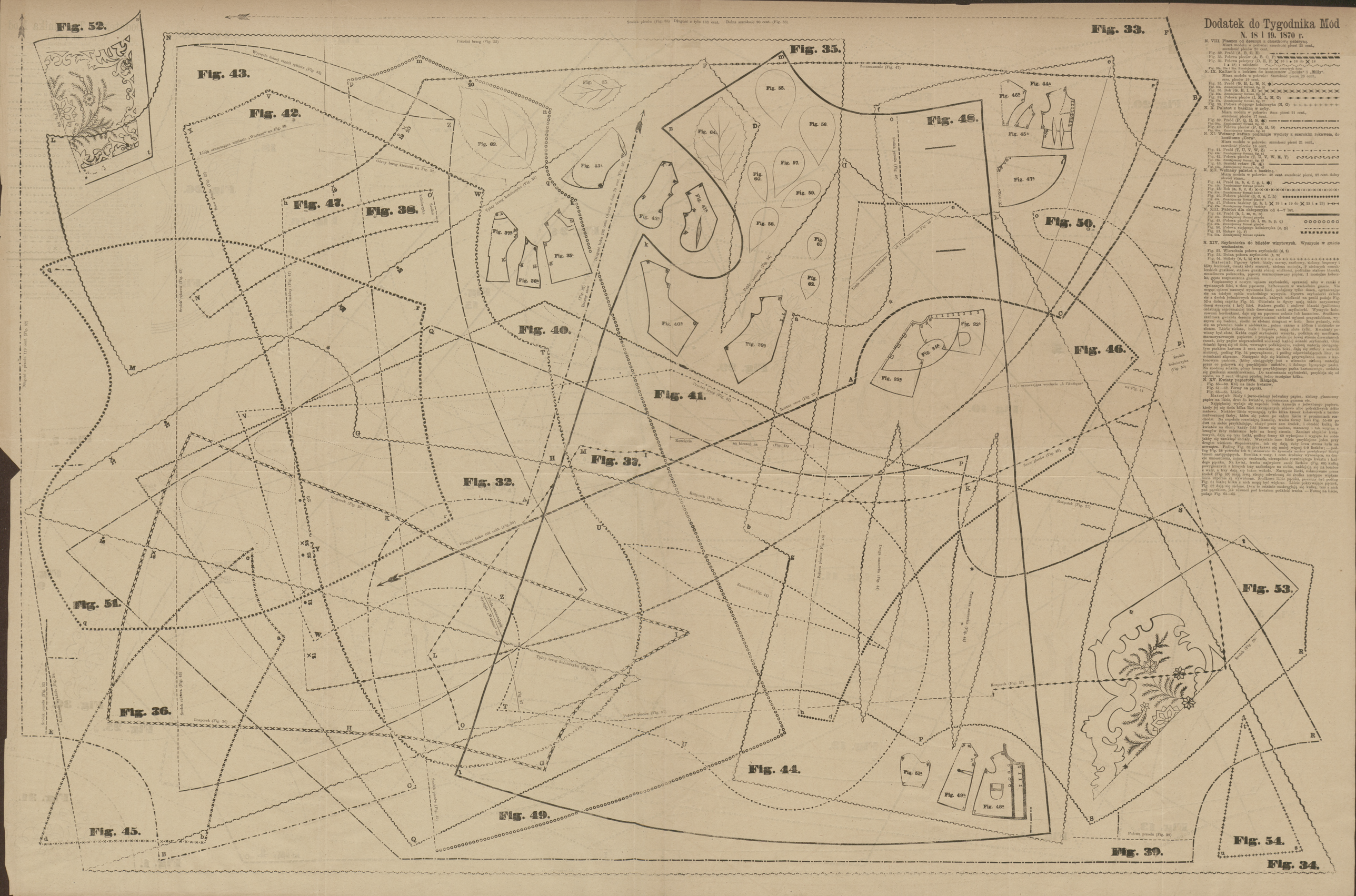

Dodatek do Tygodnika Mód

N. 18 i 19. 1870 r.

N. VIII. Płaszcz od deszczu z chrześciańcy peleryną.

Miara modelu w połowie: szerokość piersi 25 cent., szerokość pleców 20 cent.

Fig. 32. Przód (A, B, C, E).
Fig. 33. Połowa pleców (B, C, F).
Fig. 34. Połowa peleryny (D, E, F, X 16 i ▪ 16 do X 18 i ▪ 18) 1 zakładka.
Fig. 32a, 33a i 34a. Zmniejszony format razem wszystkich form.

N. IX. Kaftan'k z bokiem do kostiumów „Jezdna" i „Milly".

Miara modelu w połowie: Szerokość piersi 23 cent., szer. pleców 19 cent.

Fig. 35. Przód (G, H, I, M, N, ✱).
Fig. 35a. Zmniejszony format fig. 35.
Fig. 36. Bok (G, H, I, K).
Fig. 36a. Zmniejszony format fig. 36.
Fig. 37. Połowa pleców (I, K, L, M, O).
Fig. 37a. Zmniejszony format fig. 37.
Fig. 38. Połowa stojącego kołnierzyka (N, O).

N. X. Paletot z baskiną w pół.

Miara modelu w połowie: Szer. piersi 21 cent., szerokość pleców 17 cent.

Fig. 39. Przód (P, Q, R, S, ✱).
Fig. 39a. Zmniejszony format fig. 39.
Fig. 40. Połowa pleców (P, Q, R, S).
Fig. 40a. Zmniejszony format fig. 40.

N. XI. Wełniany kaftan podłużnie wycięty z szerokim rękawem, do kostiumu „Cora".

Miara modelu w połowie: szerokość piersi 21 cent., szerokość pleców 16 cent.

Fig. 41. Przód (T, U, V, W, Z).
Fig. 41a. Zmniejszony format fig. 41.
Fig. 42. Połowa pleców (T, U, V, W, X, Y).
Fig. 42a. Zmniejszony format fig. 42.
Fig. 43. Szeroki rękaw (Z, ✱).
Fig. 43a. Zmniejszony format fig. 43.

N. XII. Wełniany paletot z baskiną.

Miara modelu w połowie: 48 cent. szerokość piersi, 32 cent. dolny obwód stanu.

Fig. 44. Przód (a, b, c, f, g, i, ✱).
Fig. 44a. Zmniejszony format przodu.
Fig. 45. Bok (a, b, c, d).
Fig. 45a. Zmniejszony format boku.
Fig. 46. Połowa pleców (g, d, e, f, h).
Fig. 46a. Zmniejszony format pleców.
Fig. 47. Połowa baskiny (g, h, i, X 19 i ▪ 19 do X 23 i ▪ 23).
Fig. 47a. Zmniejszony format baskiny.

N. XIII. Paletot dla chłopczyka od 4—7 lat.

Fig. 48. Przód (k, l, m, n, o).
Fig. 48a. Zmniejszony format przodu.
Fig. 49. Połowa pleców (k, l, m, n, p, q).
Fig. 49a. Zmniejszony format pleców.
Fig. 50. Połowa stojącego kołnierzyka (o, p).
Fig. 51. Rękaw (q, r).
Fig. 51a. Zmniejszony format rękawa.

N. XIV. Szyfonierka do biletów wizytowych. Wymycie w guście wschodnim.

Fig. 52. Wierzchnia połowa szyfonierki (d, t).
Fig. 53. Dolna połowa szyfonierki (t, w).
Fig. 54. Sztyty (s, t, u).

Materjały: Papier tęczowy, biały, czerwony, szafirowy, zielony, brązowy i fiółty kordonek, cienki złoty sznurek, siekiera metalja, 9 zielonych szmaragdowatych guzików, stalowe gwiazdki różnej wielkości, podkładka stalowe blaszki, muszlinowa podszewka, papowy marmuryzowany papier, 1 mosiężne kółeczko, gęsto rozpuszczona gumma.

Posiadający z nowym opisem szyfonierki, oprawnej siły w ramki z wyciętymi liśćmi, z tłem papierem, haftowanem w wschodnim guście. Nie mogąc opisem nauczyć wyciskania liści, podajemy tylko desen, ograniczając się na ścisłym opisie wschodniego wyszycia. Oprawa szyfonierki składa się z dwóch jednakowych deseczek, których wielkość na przód podaje Fig. 52 a dolną części Fig. 53. Obiedwie te figury mają takie narysowany desen wyszycia i krzyż liści. Stalowe gwiazdki i srebrne blaszki (paillettes) ozdabiają najrozmaitszy blade drewniane ramki szyfonierki. Wyszycie kolorowemi kordonkami, daje się na papierem atłasu lub kanwie. Szczółowe szafirowa gwiazda desenia pojedynczemi złotemi ściegami przyozdobiona, wyszywa się blaszki, dodki ze złotem dziagami w koło. Inne gwiazdy, robią się na przemian biało z niebieskim, potem czarno z żółtem i niebiesko ze złotem. Liście zielone, blade i brązowe, mają złote żyłki. Kwiatory powinny być złote. Każda część szyfonierki wysycha, podkłada się muślinem, marmuryzowym papierem, i przykleja potem po kwej stronie drewnianych ramek, żeby papier nieprzechodził wielkości każdej ścianki szyfonierki. Oże ścianki łączą się dołu, wewnątrz podkładzyszy, sidemi marmuryzowanymi obciągniętym paskiem kartonu 3 cent. szerokim; na boki, dają się sztiefty z materji kolorowej, podług Fig. 54 przyrządzone, i podług odpowiadających im ze seiankami złączone. Następnie daje się kleista, przyrządzona z mąki z kartowym paskiem, (który obciągnięty jest z wierzchu zielonej materją) prasa co pokrywa się przykładanie sztiefów, i dołączy łączącego paska kartonowego, ondaka się gruntowni szerokiemi. Do zawiązania szyfonierki, przykleja się od spodu na 2 cent. długiej pętelce, jedno mosiężne kółko.

N. XV. Kwiaty papierowe. Kapelu.

Fig. 55—60. Krzyż na liście kwiatów.
Fig. 61—62. Forsy na pączki.
Fig. 63—65. Liście.

Materjał: Ruby i jasno-zielony jedwabny papier, zielony glansowany papier na liście, drut do kwiatów, rozpuszczona gumma etc.

Najpierwszej wydaje się zapełnić biała kamelja z jedwabnego papieru, kiedy jej się doda kilka liści nakrapianych zółowo albo pokyalcłych żółto matowo. Niektóre liście wysuwają tylko kilka kresek kolorowych a bardzo rozteworzonej farby, która się potem po całym liściu w promieniach rozchodzi. Na zupełnie rozwiniętej kamelji, trzeba formy liści Fig. 55-60 po dwa na siebie przykładając, służyć przez sam środek, i obudzić kulką do kwiatów na dłoni; każdy liść bierze się osobno, marszczy i tak wygina z brzegów żeby zakamanie było na lewej stronie. Zamiast słupków kwiatowych, dają się trzy listki, podług formy 60 wykrojone i wygięte ku sobie jakby się zamknąć chciały. Wszystkie inne liście przykłejemy jeden przy drugim wielkiem Hopsolowanym, tak się dają żeby lewa strona była na zewnątrz. Podług Fig. 59 przykrawa się mniej więcej 6-9 listków; — podług Fig. 58 potrzeba ich 9; stosownie do dywanika można powiększyć liczbę trzech następnych. Bombka z waty, 1 cent. średnicy wysmarowana, na drucie umieszczona, najmuje środeczek, niezupełnie rozwiniętego kwiatu i każdego pączka. Na kwiat, trzeba najwięcej sześć listków (Fig. 60) kulką powygniatanych z których trzy zachodzące na siebie, nakładają się na bombce z waty, a trzy dają się łudzu wokoło. Następne listki, zdatnywane przez środek (Fig. 59) mają lewą stronę odwróconą do środka następne większe liście zajmują za wyrzucone. Środkowe liście pączka, powinny być podług Fig. 61 listki; kilka z nich mogą być większe. Liście pokrywające pączek, Fig. 62 dają się ścisłem. Dwa te ostatnie zaokrąglają się kulką, trzy z nich pod pączkiem, jak również pod kwiatem podkład trzeba. — Forsy na liście, podaje Fig. 63—65.

Dodatek do Tygodnika Mód

N. 18 i 19. 1870 r.

N. VIII. Płaszcz od deszczu z chustkową peleryną.
Miara modelu w połowie: szerokość piersi 25 cent., szerokość pleców 20 cent.
Fig. 32. Przód (A, B, C, E)

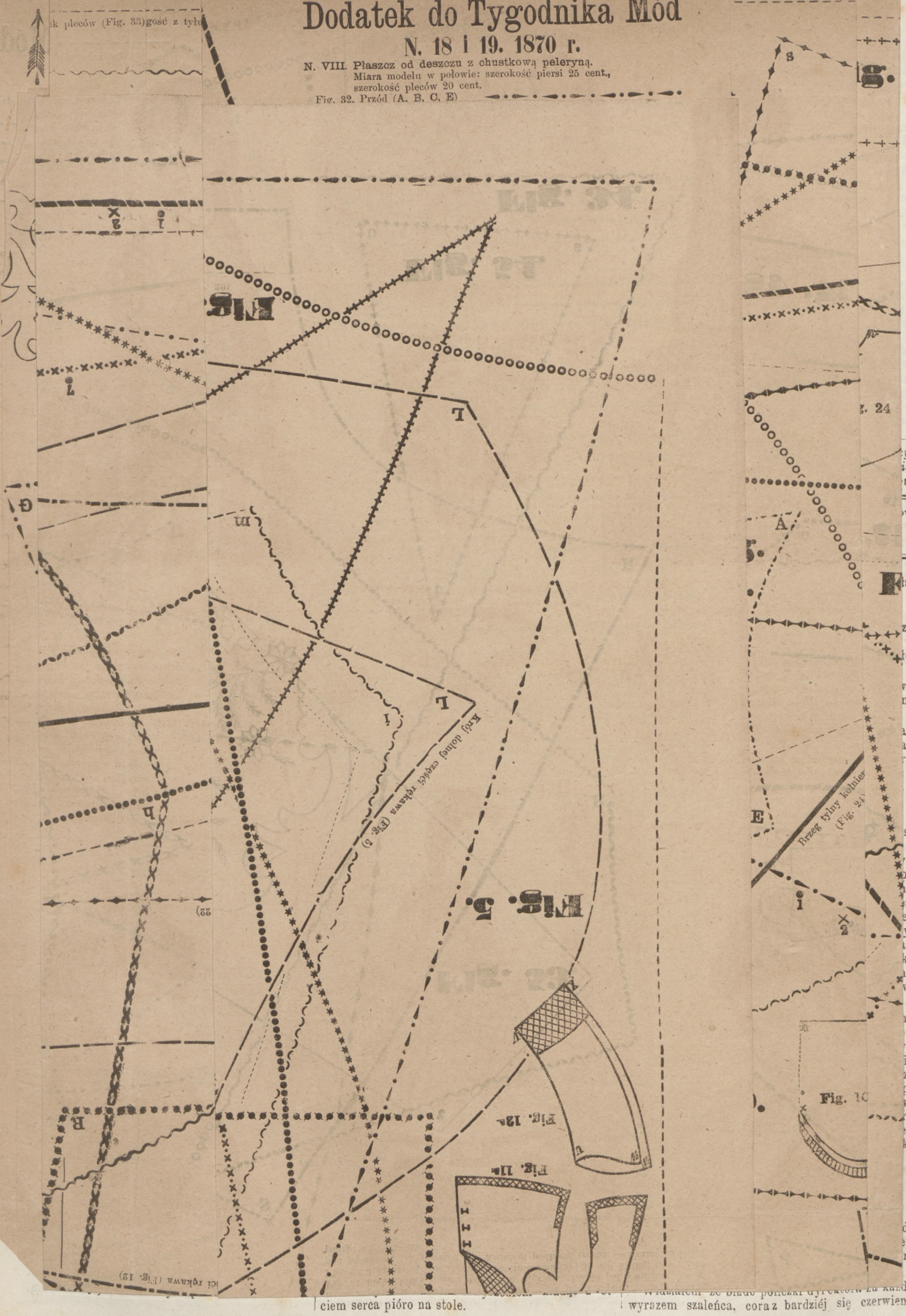

ciem serca pióro na stole.

wyrazem szaleńca, coraz bardziéj się czerwieniły,

Dodatek do Tygodnika Mód

N. 18 i 19. 1870 r.

N. I. Paletot z podpinaną baskiną do kostiumu „Altesse".
Miara modelu w połowie: szerokość w piersiach 20 cent. szer: pleców 18 cent.

Fig. 1. Przód (E, F, G, H, I, ✕ 1 do • 1 do ✕ 2 i • 2)
Fig. 1a. Zmniejszony format, fig. 1.
Fig. 2. Bok (A, B, C, E)
Fig. 2a. Zmniejszony format, fig. 2.
Fig. 3. Połowa pleców (A, B, D, G, H)
Fig. 3a. Zmniejszony format, fig. 3
Fig. 4. Baskina (C, D, F, ✕ 1 i • 1 do ✕ 6 i • 6) 1 założenie
Fig. 4a. Zmniejszony format, fig. 4
Fig. 5. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 5a. Zmniejszony format, fig. 5

N. II. Wcinany paletot do kostiumu „Suez".
Miara modelu w połowie: Szerokość piersi 21 cent., szerokość pleców 17 cent.

Fig. 6. Przód (N, O, P, Q, R, ✱)
Fig. 6a. Zmniejszony format, fig. 6, z kołnierzem marynarskim, fig. 8
Fig. 7. Połowa pleców (N, O, P, Q, S, T)
Fig. 7a. Zmniejszony format, fig. 7
Fig. 8. Połowa marynarskiego kołnierzyka (R, S)

N. III. Tunika z ranwersem do kostiumu „Kamelja".

Fig. 9. Przód tuniki
Fig. 9a. Zmniejszony format fig. 9
Fig. 10. Połowa tuniki w tyle (✳, ✕ 7 i • 7)
Fig. 10a. Zmniejszony format, fig. 10

N. IV. Wykład, rękaw i tunika do kostiumu „Turquise".

Fig. 11. Połowa wyłożonego kołnierzyka
Fig. 11a. Zmniejszony format kaftanika z kołnierzykiem, fig. 11
Fig. 12. Rękaw (U, V, W, X)
Fig. 12a. Zmniejszony format rękawa, fig. 12
Fig. 13. Połowa tuniki z przodu (Y, Z)
Fig. 13a. Zmniejszony format, fig. 13
Fig. 14. Połowa tuniki z tyłu (Y, Z, ✕ 8 i • 8 do ✕ 13 i • 13) 1 założenie
Fig. 14a. Zmniejszony format, fig. 14

N. V. Kaftanik dla młodych panienek.
(Z dodaniem mniejszych form).
Miara modelu w połowie: szer. piersi 20 cent., szer. pleców 18 cent.

Fig. 15. Przód (a, b, c, d, e, ✱)
Fig. 15a. Zmniejszony format, fig. 15
Fig. 16. Połowa pleców (a, b, c, d, f)
Fig. 16a. Zmniejszony format, fig. 16
Fig. 17. Połowa stojącego kołnierzyka (e, f)

N. VI. Kaftanik dla dziewczynek od 6—12 lat.
(Z dodatkiem mniejszego jeszcze fasonu)

Fig. 18. Przód (g, h, i, k, l, n)
Fig. 18a. Zmniejszony format, fig. 18
Fig. 19. Połowa pleców (g, h, i, k, m)
Fig. 19a. Zmniejszony format, fig. 19
Fig. 20. Połowa stojącego kołnierzyka (l, m)
Fig. 21. Rękaw (n, o, p, q)
Fig. 21a. Zmniejszony format rękawa, fig. 21

N. VII. Płaszczyk pelerynowy dla dziewczynki od 6—8 lat.

Fig. 22. Przód (r, s, t, u, w)
Fig. 22a. Zmniejszony format, fig. 22
Fig. 23. Połowa pleców (r, s, t, u, x, y, z, ✕ 14 i • 14 do ✕ 15 i • 15)
Fig. 23a. Zmniejszony format, fig. 23
Fig. 24. Połowa peleryny (v, w, x, y)
Fig. 24a. Zmniejszony format peleryny
Fig. 25. Połowa stojącego kołnierzyka (w, z)

Rozmaite desenie na wyszycie ubrań dziecinnych.

Fig. 26. Czwarta część deseniu na denko do kapelusza dla dziewczynki
Fig. 27. Medaljon na kapelusz. —
Fig. 28. Czwarta część deseniu na denko do kapelusza dla chłopczyka.—
Fig. 29. Narożnik (wyszycie płaskim ściegiem na okrycie kapturkowe dla małych dzieci.)
Fig. 30. Wyszycie na epolet w tamborku, na bluzkowe fartuszki.
Fig. 31. Szlak w tamborku wyszywany na bluzkowy fartuszek.

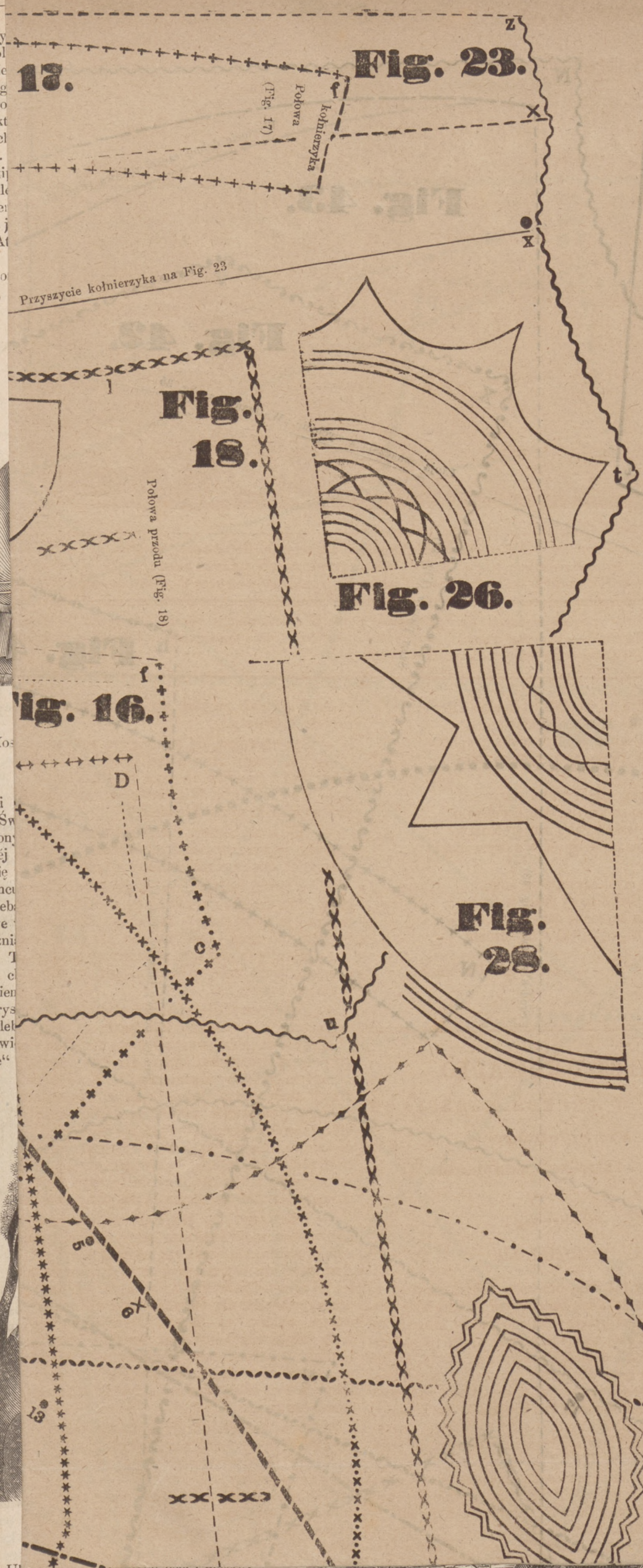

N. 33. Ubranko z [illegible]
Zobacz rycinę 2 w Ty. Mód N. 15.

N. 32. Kostium dla panienek.

pieprzem i cy
mówią wspól
Zawód pie
ton w Dialog
słynniejszego
Ateńskich, kt
wiele nowycl
ków chleba.
nikarz Anti
mówi, iż skl
był miejsce
brania naj
mitszych At
ków.
Dziś z po
wszystkich,

N. 26. Ko

wiedeński
sławę. Św
przysądzony
narodowéj
że dali się
dzie Franc
wają chleb
Jak we
glicy różni
swoich. T
pokarm, c
nie ubogie
łach arys
kładą chle
„Człowi
bem żyje"

przyznać: że chleb ważne zajmuje miejsce w życiu człowieka. Jest to główna podstawa jego fizycznéj budowy.

KORESPONDENCJA.

Pani Łucji Fra. Za przesyłkę pism należy się Redakcji kop. 33.